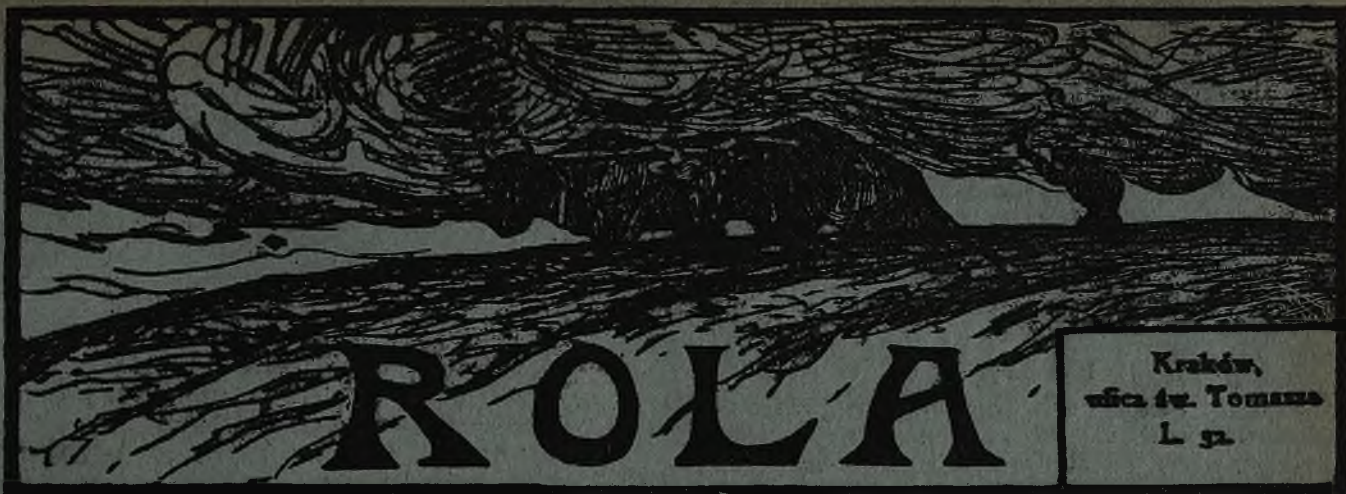
Numer 37. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 13 Września 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nieostrożny.

Staś zakochał się w swojej żonie za pierwszem spojrzeniem!

— Prawda, ale teraz gorzko żałuje, że nie spojrzał na nią choć dwa razy!



Ciekawy.

Chłop: Panoczku, nie moglibyście powiedzieć, w jaki sposób stali się tak opasłym?

Jegomość: A cóż was obchodzi moja opasłość?

Chłop: Ja chciałem się dowiedzieć, ponieważ moja świnia w tym roku jakoś nie chce utyć.



„Ostrożnie".

Majer Cynober, kupiec z Mościsk, przyjechał do Krakowa i przechodząc przez jedną ulicę dostał się pod koła samochodu, które go uśmierciły na miejscu. Przyjaciele jego naradzali się, jakby o katastrofie donieść żonie z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, by wieść o śmierci męża nie była dla niej tak straszną. Wynikiem był następujący telegram: „Majer lekko zachorował. Pogrzeb we czwartek".

Nasze dzieci.

Matka: Nasza Maniusia jest bardzo podobna do mnie. W każdym razie oczy wzięła po mnie!

Ojciec: Ale nos i usta po mnie!

Maniusia: A pończoszki po babci!



Nasze dzieci.

— Proszę pana, czy pan się urodził w lesie?

— Skądże znowu moje dziecko! A dlaczego?

— Bo wczoraj mamusia pytała się tatusia, skąd wytrzasnął takiego starego... grzyba.



Złośliwy.

— Cóż, bardzo cię wczoraj żona zbeształa?

— Moja żona wogóle nie beszta. Jest głuchoniemą i rozmawia tylko zapomocą palców.

— Aha, to ci wczoraj zapewne wyprawiła kazanie palcami, żeś taki podrapany.

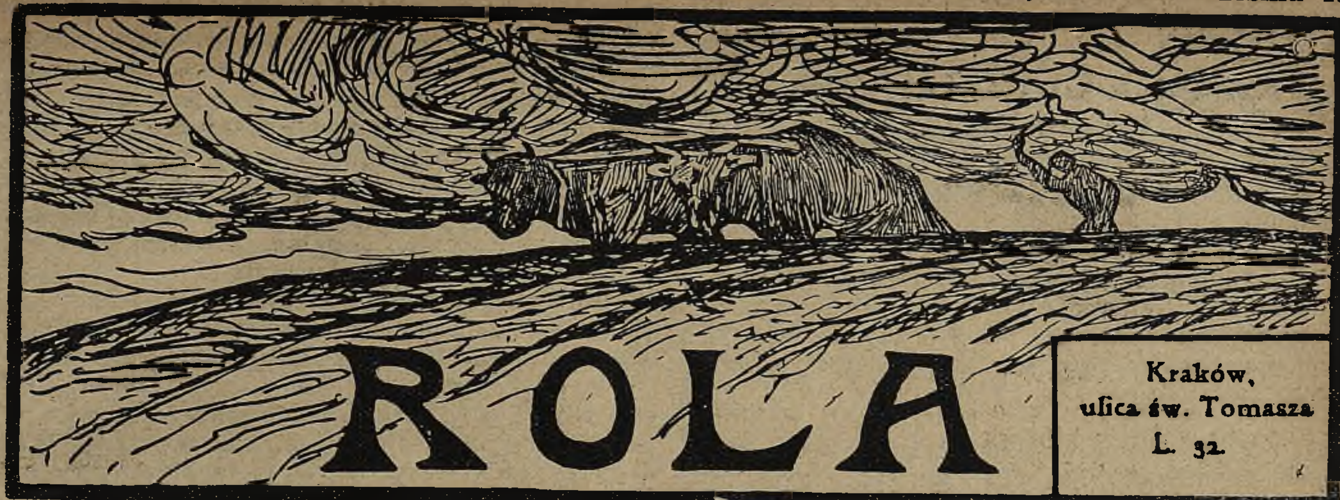


Nasze kamieniczniki.

— Panie gospodarzu woda mi kapie do mieszkania.

— A cóż do djabła, chcesz pan aby panu piwo kapało.

Numer 37. Rok XIV. Kraków, dnia 13 Września 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391
Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Niepoczytalna zbrodnia.

Każda niemal zbrodnia, jakkolwiek nigdy zbrodniarzowi w ostatecznym rezultacie nie przynosi korzyści, ma jakiś powód, jakiś cel, który wprawdzie zbrodni nie usprawiedliwia, ale w każdym razie ją tłumaczy. Powodem zbrodni na znienawidzonym rywalu jest zawiedziona miłość własna, upokorzona ambicja, jest zamiar pozbycia się tego, który zbrodniarzowi staje na drodze do rzekomego szczęścia. Zbrodniarz, mordując posiadacza pieniędzy, ma cel zdobycia tych pieniędzy, a powodem bywa konieczność usunięcia tego, ktoby mu mógł do zdobycia tych pieniędzy przeszkodzić.

Ale odnośnie do zbrodni morderstwa, jaką popełniono w ubiegłym tygodniu w Truskawcu na osobie posła śp. Tadeusza Hołówki, nie można się dopatrzyć ani powodu, ani celu tej zbrodni. Oto do mieszkania, zajmowanego chwilowo przez śp. Hołówkę w zakładzie Sióstr Bazyljanek weszło dwóch nieznanych narazie ludzi, którzy do leżącego w łóżku posła dali trzy strzały rewolwerowe, a nadto zadali mu cios sztyletem w piersi. Śp. Hołówko padł trupem na miejscu, a mordercy uszli narazie bezkarnie.

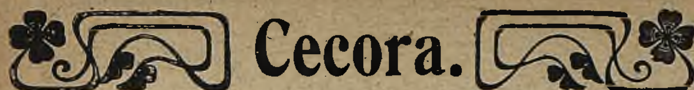
Otóż w morderstwie tem nie można się dopatrzyć należytego powodu dokonania jej. Jak ogólnie utrzymują, morderstwa dopuścili się członkowie ukraińskiej organizacji wojskowej, która ma na celu sianie zamętu w Małopolsce wschodniej i rozniecanie zarzewia nienawiści między Polakami a Rusinami. Organizacja ta działa za pieniądze niemieckie na rzecz bolszewików. Narodowi ruskiemu, zwanemu także ukraińskim, nie przynosi najmniejszych korzyści. Żaden, miłujący swój naród Rusin, do organizacji tej nie należy i w jej działalności udziału nie bierze. A mimo to organizacja ta istnieje i liczy dość dużo członków. Dlaczego?

Oto dlatego, że w każdem społeczeństwie znajdą się takie jednostki, które dla zdobycia marnego grosza gotowe są dopuścić się największej zbrodni, aby grosz ten tylko uzyskać. Za nic im sumienie, za nic dobro współbraci: oni dążą tylko do tego, aby zdobyć dla siebie jak najwięcej, a jakimi środkami o to już mniejsza. Aby zaś z za granicy ciągnąć jak najwięcej, obałamucają bezkrytycznych swych rodaków, pchają ich do zbrodni i zbrodnie ich popierają. Ktoby stanął na drodze ich działalności, tego uważają za swego śmiertelnego wroga.

A takim był właśnie śp. Hołówko. On tak w gazetach, jak i z trybuny sejmowej, tak publicznie, jak i prywatnie pisał i przemawiał o tem, dążył do tego, aby pomiędzy dwoma bratniemi narodami: polskim i ruskim zapanowała zgoda, jaka pomiędzy braćmi panować powinna. Działalność jego poczynała wydawać owoce. Coraz więcej Rusinów rozumiało tę prawdę, że tylko zgoda dwóch narodów może obydwa te narody doprowadzić do dobrobytu i zapewnić im świetlaną przyszłość. Ale to właśnie burzycielom pokoju było nie na rękę. Gdyby bowiem wszyscy Rusini i Polacy poznali ową prawdę, burzyciele owi nie mieliby nic do roboty i nie mogliby napychać swych kieszeni zagranicznemi pieniądzmi.

To był powód i cel owej zbrodni w Truskawcu.

Wielu Rusinów zrozumiało to, dowiedziawszy się o dokonaniu morderstwa, to też wiele wieńców organizacyj ukraińskich spoczęło na trumnie niewinnej ofiary, a liczne rzesze ludu ukraińskiego wzięły udział w jego pogrzebie. Zrozumieli oni i rozumią, że morderstwo w Truskawcu było zbrodnią niepoczytalną, którą narówni z całym światem potępiają.



Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

— Choć kuci jeszcze?...

— Łyżkę jedną i to ze strachem — odpowiadała pani domu.

Tak małżonkowie się kłócili, ale bez potrzeby żadnej, bo Plichcie w żywocie burczeć zaczęło i kuci nawet nie jadł. Natomiast wino stare ze smakiem pił i to mu na zdrowie poszło. Teraz w gawędę uderzyli, i Plichta aż za łeb się wziął, takie mu rzeczy kniaź Korecki opowiedział.

* * *

Była wojna, druga wojna z Turkami, zakończona pokojem Oryninskim. Kozactwo zburzyło traktat buszański, morze Czarne czajkami zorało, spaliło Trebizondę i Synopę i „hura-ho" pod samym Stambułem huknęło. Urażony sułtan wystąpił z potęgą wielką i zalał Podole. Przeciwko niemu stanął Żółkiewski z pięknem i licznem wojskiem, ale panowie jawną już niechęć wodzowi naczelnemu okazywali. — Sieniawscy i Kalinowscy nie chcieli pułków swoich z hetmańskimi połączyć i osobnymi obozami stanęli. Do słuchu hetmańskiego dochodziły głosy: „Za Dniestr — a wtedy!" I możeby hetman za Dniestr się posunął, gdyby znów nie listy jakieś, które z Warszawy przybyły. Hetman kroku nie ruszył i pomimo wzmagającego się oburzenia, w okopach pod Oryninem stanął i czekał nieprzyjaciela. Potrzeba było wielkiej przezorności i energji Żółkiewskiego, by do pewnego buntu nie dopuścić. Ale nieposłuch rósł i jak zaraza morowa wszystkich ogarniał. Nawet imćpan Tomasz Zamoyski, wojewoda kijowski, któremu ongi przepowiadał był kniaź Samuel Korecki, „iż przyjdzie czas i przeciw hetmanowi okoniem stanie" — z trzema tysiącami mężów dobranych osobny obóz założył, wszelkie napomnienia i rokazy wodza mimo uszu puszczając. Żółcią zalało się serce starego hetmana i postanowił ukarać młodzieńca. Niedługo czekał. Nim pułki tureckie nadeszły, ćma Tatarów pojawiła się i uderzyła na wysunięty, a oddzielnie stojący okop pana wojewody. Walka była zacięta, trup tatarski padał gęsto, ale pohańców prowadził Miecz Krwawy, a prowadził na zwycięstwo lub śmierć. — Roztrącane fale zastępów tatarskich, na groźny rozkaz murzy zwierały się, nabierały potęgi i w okop samotny ze wzmożoną uderzały siłą. Omdlewały cięcia szabel polskich, na wały czerń się darła. Okop pana Zamoyskiego, jak opuszczona wyspa na morzu, tonął pośród bałwaniących się tych fal. Huk głuchy, jęk krótki, kotłowanie się i wrzenie straszliwe towarzyszyły tej walce rozpacznej.

Z zapartym tchem w piersi Sieniawscy, Kalinowscy i inni patrzyli ze wzniesień obozowisk swoich na bój okrutny. Oczy ich mimowoli biegły w stronę obozu hetmana, czekając na hasło do walki, na błysk złotej buławy. Ale Żółkiewski na wałach okopu swojego stał zimny, nieporuszony, niby uosobienie Potęgi, od której życie lub śmierć zależy. Dreszcz przeszedł po ciałach tych panów hardych, dech w piersi zaparł strach grozy. Nie pomknął nikt z odsieczą, z ratunkiem, jeno patrzyli wciąż na widniejącą zdala postać hetmana, oczekując stamtąd znaku do boju. Ale błysku buławy widać nie było!... Żółkiewski stał, jak posąg, nieporuszony, zimny, milczący — i zdawało się wszystkim, że tem milczeniem i chłodem mówił:

„Nademną król, nad wami — ja!"

A na okopach pana wojewody kijowskiego zamięszanie piekielne, ostatni dzień sądu. Młody wódz wśród chaosu walki rozdawał razy i rozkazy — lecz i on obracał wzrok na obóz hetmański i jemu się zdało, że nieruchomy posąg wodza mówił:

„Nademną król, nad wami — ja!"

A wtem przypadł jeden z gońców Zamoyskiego i chyląc się do stóp hetmana, zawołoł:

— Wasza miłość — tam giną!

Wtedy poruszył się Żółkiewski i rzekł:

— Niech się nauczy młodzieniec naprzód słuchać starego wodza, a potem sam rozkazywać!

A w okopach jakiś zamęt, gwar, kotłowanie się straszliwe: to wysiłek ostatni ginącego rycerstwa, to Kantemirowych zastępów okrzyk zwycięski. Wtedy dopiero powietrze przeszyła złota błyskawica buławy hetmańskiej... i runęła jazda, jak wicher. Szmer sępich piór zakołysał powietrzem, zagruchotała ziemia od kopyt rwącego się zastępu. Czterystu tylko było mężów, lecz każdy niósł śmierć, przerażenie i strach. Pomknęli... dopadli... Suchy trzask dzid oznajmił wszystkim, że uderzyli z impetem — błysk szablic, że wsiedli na karki i tną i mordują. I oto mrowie tatarstwa, jak piasku ławica, odwaliło się od zdobytego już prawie okopu, w proch rozwiane; stosy trupów tylko mówiły o walce, mówiły o niej kałuże krwi, jęki rannych, rzężenie konających i — jakby od wilczych zębów poszarpany Zamoyskiego okop. Po paru dniach pojawiły się Skinder-paszy zastępy, ale do walki nie przyszło; odnowiony został traktat buszański — i wojsko się rozeszło, a sarkania panów na Żółkiewskiego w dwujnasób się wzmogły, Gniewały ich warunki: „że Polska ukróci Kozaków, zakazując im wszelkich napaści, czy lądem, czy morzem na ziemi padyszacha; że podług dawnych traktatów i zwyczajów Tatarzy zwyczajne upominki od króla imci rocznie odbierać będą; że do Wołoszczyzny i Multan, lub to z chciwości panowania, lub dla czynienia szkód, żaden z Polaków wchodzić nie ma". Gniewał ich postępek hetmana z Zamoyskim, a nikczemnem podejrzeniem ukłóła ich w pierś wieść podła, że Tatarzy plądrują województwa ruskie, niszcząc wszystko ogniem i mieczem, dobra hetmańskie oszczędzali, tak, że na ziemiach onych jeden Tatar nie postał. Wzmagało się wrzenie — czystą postać hetmana osłaniał cień jakiejś przewiny; z zasłużonego wieńca zasług poczęto obrywać liście niezwiędłego dotąd wawrzynu.

Taką historję opowiadał Plichcie kniaź Korecki.

Pan Konstanty słuchał opowieści onej, jakby bajki o wilku żelaznym.

— Patrz waszmość, a mnie tam nie było! — powtarzał.

— Nie było, bo waćpan pod Kachny mojej opieką na pierzynach leżałeś.

— Dziwy! dziwy!... — szeptał Plichta. — Ano — wymęczył mię Kantemir, na miesiące długie zmysły odebrał, a tam wojna...

— Co za wojna! jeno spacer nad Dniestr — przerwał z niechęcią Korecki. — Żółkiewski zdziadział i zaprzał się sławy dawnej; buławę mu odebrać, a skórkę zajęczą dać — ot co!

— Za rączy sąd, kniaziu, za rączy sąd!... Mówisz, że postępek hetmana z wojewodą kijowskim niechęć zbudził, a mnie się on podobał. Litości nawet dla krwie swojej nie miał. Posłuch, to posłuch — ot co!

— Coś mi inaczej śpiewasz teraz, Plichta!... Pamiętasz, jakoś był gotów wraz ze mną pułki nad Dniestr zawrócić?...

— A czemużeś nie zawrócił? a czemużeś mnie z sobą nie porwał? Słupem w ziemię nas wbił jeden krótki rozkaz hetmana. Pamiętasz, Korecki?

Twarz kniazia zczerwieniała.

— Miał moc — rzekł głucho — ale ona pryska i — pryśnie! Busza, Orynin nie powtórzą się już! — Mówią, że zbiorą się stany i zażądają rachunku od jaśnie wielmożnego hetmana.

— Co? co? co? co?

— Przecz i nad Żółkiewskim rozgrzmieć się może sąd rzeczypospolitej. Cóż tak wypatrzyłeś się na mnie? E! jeszcze gorączkę masz, Plichta! — rzucił kniaź.

— Może... — wyszeptał cicho rotmistrz.

Wpatrzył się przed siebie i milczał. Po chwili ujął dłoń Koreckiego i rzekł:

— Mów mi, co tam wiesz o niej?

— A zdzierżysz?

Na to pytanie Plichcie dech w piersi się zaparł, ale odpowiedział spokojnie:

— Złą masz wieść jaką, ale — zdzierżę.

— Miłowałeś dwie dziewki naraz — którą lepiej, to już nie moja rzecz — ale Halszka dowiedziała się o tem.

— Skąd? — zawołał Plichta.

— Jasinowskiemu wszystko opowiedziała Mitrąsówna, ten oczywiście wieści onej w fałdach żupana swojego nie schował.

— I co? — spytał Plichta.

— Kurzański mówił, że dziewka omdlała, chwyciwszy wieść oną, lecz w sobie ukryła wszystko. A gdy hetman raz był jej rzekł o miłowaniu waćpana i spytał, jak ona na to patrzy — swojego kochania zaparła się. Widzisz, Plichta — jak to źle, we dwie strony naraz uderzać! Ale co tobie? po czole zimny pot spływa, pot? Niemocen jeszcze jesteś. Gorzałki się napij, czy co?...

— O, dlaczego mnie Kantemir nie ubił! — jęknął Plichta.

— I cóżby ci z tego przyszło? A tak możesz jeszcze przed dziewką ozorem machnąć i złe naprawić.

— Nie, Korecki, skończyło się już panowanie moje. Miałem jej serce, kiedym się do innej palił, a teraz ono stracone już dla mnie. Pod ziemię mi się skryć, nie przed Halszką stawać. Nie godzienem jej...

Od tej chwili już Plichta nie poruszał materji onej. O Halszce nie wspominał, zdawało się, że chciał zapomnieć o niej, ale snać było, że jakiś cichy, nieprzemożony smutek go łamał, że coś do roboty z własnem sumieniem miał, które mu gorzej, niż przebyta choroba, dopiekało.

Halszka zaparła się miłowania!...

On wiedział, że tak nie było. W uszach jego wciąż brzmiały jej słowa z taką szczerością wypowiedziane: „Cierpieć będę — miłować nie przestanę“. I wierzył, że tak jest: cierpi — ale miłuje!... choć miłowanie ono nie przeszkadza zaprzeć się go przed światem, przed nim samym nawet, tylko nie przed sercem własnem. I to go męczyło. Owładnęła nim jakaś niechęć do życia, która się melancholją nazywa. Nic go już nie obchodziły sprawy rycerskie, o których Korecki mu opowiadał — na wszystko miał jedną odpowiedź:

— Co mi tam!...

Kniaź głową kręcił, kniaziowa święconem zielem go podkurzyła, lecz Plichcie żadnej to ulgi nie przyniosło. Wybierał się w Krakowskie do rodzica, którego od lat kilku nie widział, do siostry, która na dorodną dziewkę już uróść musiala — do macierzy, która łzy po nim wypłakała, ale Korecki nie puszczał go w podróż tak daleką, bo od czasu do czasu uparta powracala febra, a na stepach nieprzebyte położyły się śniegi i mrozy okrutne roku tego dały się ludziom we znaki. Plichta wybierał się i zostawał — i tak zimę całą przemarudził, ale wzmógł się nieco na siłach i gdy pierwsze dni wiosny ciepłem powiały, pożegnał dworzyszcze koreckie i w podróż ruszył.

Minął Sławutę, Ostróg, Krzemieniec, przez Poczajów ku Białemu Kamieniowi się udał, gdzie jeszcze ślady dawnego obozowiska dostrzegł. O staj kilkadziesiąt Jagodyńce... Tak! w tamtej stronie leżą... pamięta! Pamięta, jak ku nim z hetmanem i Kurzańskim wraz jechał, i jak powracał z dziwnem przepełnieniem serca. Księżycowa była noc... konie szły wolno, a Kurzański śpiewał: „Kiedy Kupido w centrum serca strzeli...“

Na wspomnienia one Plichta aż zachwiał się na koniu.

A później — przypomina, jak podczas mgły porannej na spotkanie Halszki wyjechał!... Czego on jej nie mówił! a jak sercem bił do niej!... a ona?...

Plichta uczuł łzy w oczach.

— Nie godzienem jej — szepnął.

I minął Jagodyńce, minął Żółkiew — przez Lwów, nie zatrzymując się, przejechał, aż się oparł w rodzinnem swojem Plichtowie.

Podczas tej podróży spotykał się nieraz z bracią szlachtą i panów pocztami. Z rozmów wyrozumieć mógł, że jakaś burza na głowę hetmana zbierała się, niechęci w oskarżenia urastały; podkanclerzy zaś Lipski nie szczędził słów nagany wodzowi staremu. Tak dotarł do Plichtowa, gdzie go rodzic stary powitał, a Hanka na szyji brata zawisła, że ledwo ojciec oderwać ją mógł.

— Ta ostawże mnie — niech się temu straceńcowi napatrzę!... Czy słyszysz, mucho? Ostaw, mówię! — a to bzyka mu nad uchem, że statecznego słowa wypowiedzieć nie można.

Widok domu rodzinnego, ojca, siostry i matki staruszki, rozrzewnił tak Plichtę, iż na głos ryknął. Matka raz wraz do stęsknionej przytulała go piersi, Hanka bzykała nad uchem, a ojciec odpędzał miłych natrętników, mówiąc:

— Ostaw, Hanuś, ostaw stara!... wżdy i mnie się tam jakaś pieszczota należy. No, na bok! na bok!... zamęczycie go, a wżdy on nie po to przyjechał... Puść go już, stara-... Hanuś, szyję mu złamiesz!... Ta puszczajcie już, do stu tysięcy szkarpetek! — przez łzy prawie zawołał.

— Aaa! — odetchnął Plichta. — Z wami jestem, z wami — i ostanę już z wami! Pieść mnie, matusiu, ściskaj ojcze — a ty mi bzykaj nad uchem siostruniu swoim głosikiem ukochanym — odrodzę się tu — odżyję... Aaa!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nad zmierzchem słońce.



O świeć mi w zorzach, purpurowe słońce,
choć wtedy, gdy zachodzisz —
dzień za dniem mija z twym blaskiem w rozłące
i noc cienistą jeno rodzi...

W odwieczerz do mej izby przez drzew zieleń
przychodzisz, ciche słońce,
czerwone plamy na ścian półsen ścielesz,
jak pocałunki ust gorących...

O świeć mi w zorzach, zanim sam zagarnę
z minionym dniem w rozłące,
i w przednoc smutną chwile daj mi jasne,
o miłościwe, ciche słońce!...

Franciszek Surówka.

Rampsiuit i jego skarby.

(Z podań egipskich.)

Był sobie w Egipcie król, nazwiskiem Rampsiuit. Ten zamiast sobie skarbić serca poddanych, wolał zbierać pieniądze, za które zdaniem Rampsiuita, można nabyć wszystko, a nawet serca ludzkie. Przez kilkanaście lat swego panowania, zebrał olbrzymie skarby, i byłby najszczęśliwszy, gdyby nie troska, że może mu je ktoś zabrać. Myśl ta nie dawała mu spokoju, dręczyła go w dzień i w nocy. Inny na jego miejscu postawiłby straże, ale Rampsiuit nie głupi, myśli:

— A któż mi straży będzie pilnował?

Aby więc się uwolnić od ciągłej troski, zawołał budowniczego i kazał mu wybudować z granitu rodzaj paki bez drzwi i okien, i tylko z jednem wejściem od sypialni Rampsiuita. Budowniczy, domyślając się o co chodzi, czy też przez złośliwość, spłatał królowi figla, jak już potem zobaczymy.

Rampsiuitowi spadł kamień z serca, gdy widział swe skarby ulokowane w bezpiecznem miejscu. Codzień po smacznym obiedzie, dla większej strawności żołądka, pasł swoje oczy widokiem złota, a królewna cieszyła się, widząc swego ojca zadowolonego i uśmiechniętego.

Ale trwało to niedługo. Wszedłszy raz Rampsiuit do skarbca, zauważył, że jedna beczka zmalała coś w swej objętości. Zaniepokojony, ponaznaczał sobie beczki i wyszedł ze skarbca. Lecz jakież było jego okropne przerażenie, gdy za kilka dni przekonał się, iż z każdej beczki ubrano pieniędzy. Rampsiuit zapalił małą lampkę i obszedł cały skarbiec, badając ściany dookoła. Lecz ściany były gładkie i nigdzie nie było śladu, któryby wskazywał na bytność złodzieja. Pomimo to jednak ktoś podbierał jego złoto.

Szło teraz o to, jak złapać złodzieja. Postawić wartę zewnątrz, toby niedoprowadziło do celu, aleby było ostrzeżeniem dla niego. Po długich więc namysłach postanowił koło beczek ustawić sidła i żelaza. Wierny rzemieślnik uczynił zadość żądaniu Rampsiuita.

My teraz wróćmy na chwilę do owego budowniczego. Budowniczy, jak się powiedziało, zbyt domyślny, jeden z granitowych kamieni tak położył, że kamień ów z łatwością dał się wysuwać, otwierając tem samem wejście do skarbca. Sam budowniczy nie skorzystał z tego ani razu, bowiem ciężko zachorował i umarł. Chcąc jednak po śmierci zapewnić byt żonie i dzieciom, wyjawił im tajemnicę o kunsztownie wprawionym kamieniu do skarbca.

Synowie, ledwo pochowali ojca, zaraz pierwszej nocy udali się z niecierpliwością na wskazane miejsce i porządnie napełnili kieszenie pieniądzmi, a gdy te się wyczerpały, uznali za rzecz słuszną odwiedzić znowu skarbiec. Czynili to dotąd, aż się rzecz wyjawiła, i owe nieszczęsne żelaza, pomimo ich wiedzy, zastawione zostały.

W dobrej wierze poszli i tym razem jak po swoje. Starszy brat, uchyliwszy kamienia, wszedł pierwszy do skarbca. Zaledwie kilka kroków postąpił, zwarły się żelaza i jego całego pochwyciły. Widząc, że jest zgubiony, ostrzegł natychmiast młodszego brata o swem położeniu. Będąc zaś człowiekiem odważnym i rezolutnym, odezwał się do brata:

— Mnie już ocalić nie zdołasz, ale zginąłbyś ty i matka moja, gdyby mię tu znaleziono. Niema więc innego sposobu ocalenia was, jak tylko, abyś mi uciął głowę i wziął ją ze sobą, to się rzecz nie wykryje.

Młodszy brat wzdragał się na tą propozycję, ale widząc, że schwytany i tak zginąć musi, wykonał polecenie brata i wziąwszy jego głowę, zasunął kamień, jak należało i pospieszył do matki.

Nazajutrz, wszedłszy Rampsiuit do skarbca, zobaczył trupa bez głowy i brak śladu wejścia. To już było wielką zagadką dla niego, ale sądził, że przy pomocy trupa uda mu się dojść po nitce do kłębka. Rozkazał więc wystawić na widok publiczny zwłoki zabitego, a ktoby na ich widok okazywał żal, niezwłocznie pojmać.

Tymczasem matka zabitego, dowiedziawszy się o rozporządzeniu króla, wymogła na bracie, że jej odda zwłoki do pochowania, w przeciwnym bowiem razie pójdzie do króla i wszystko wyjawi. Napróżno usiłował nieszczęśliwy syn wybić swej matce z głowy ten nieszczęsny zamiar. Widząc swe prośby daremnemi, zaczął myśleć nad planem uwolnienia zwłok brata. Objuczył kilka osłów worami z winem i udał się na miejsce, gdzie strażnicy pilnowali trupa. Będąc na miejscu, rozwiązał znienacka dwa wory, tak, że wino wylewało się strumieniami. Wtenczas wszczął hałas i lament. Na ten krzyk przybiegli żołnierze i widząc, co się dzieje, nadstawiali szyszaki i pili wino, miast ratować nieszczęśliwego. W tym gwarze i zamieszaniu nasz filut rozwiązał resztę worów. Wszystko skończyło się na tem, że żołnierze, doskonale się upiwszy, posnęli kamiennym snem. Gdy zapadł wieczór, młodzieniec zabrał zwłoki brata, a potem, chcąc królowi spłatać figla, ogolił śpiącej straży po pół brody na jednej stronie.

Gdy się nazajutrz Rampsiunit dowiedział o tem, wpadł w gniew. Za wszelką cenę postanowił schwytać złodzieja. W tym celu ogłosił w całem Memfis (stolicy Egiptu), że ten królewnę za żonę dostanie, kto jej opowie najprzebieglejszą historję. Myślał, że złodziej złakomi się na tak wielką nagrodę, i że w ten sposób go schwyta. I nie pomylił się.

Przebiegły młodzieniec stawił się niebawem w zamku, ale spodziewając się podstępu, przygotował się na wszelki wypadek. Wieczorem udał się w konkury do królewny, a gdy ta zapytała go o jakąś dowcipną sztuczkę, opowiedział jej śmiało swą przygodę z strażnikami królewskimi. Skoro skończył, królewna podług umowy z ojcem schwyciła go za rękę i narobiła hałasu, aby schwytano złodzieja. Lecz jakież było jej zdziwienie, gdy ręka oddzielona od ciała została jej w ręce, a filut uciekł.

Teraz Rampsiuitowi zabrakło konceptu, a ponieważ nie chciał sobie dłużej łamać głowy, a chęć poznania złodzieja rosła coraz bardziej, przeto kazał ogłosić powtórnie w stolicy, że jeżeli złodziej stawi się przed oblicze królewskie, nietylko mu winę daruje, ale jeszcze sowicie wynagrodzi.

Młodzieniec, wierząc słowu królewskiemu, zgłosił się do Rampsiuita i wyjawił mu tak ważną tajemnicę ruchomego kamienia w skarbcu.

— A oddzielona ręka? — spytał ciekawie król.

Młodzieniec uśmiechnął się i rzekł:

— Ponieważ spodziewałem się podstępu ze strony królewny, przyniosłem pod szatą urżniętą rękę zmarłego brata.

Król widząc przed sobą człowieka mądrego, nie rozgniewał się wcale, lecz owszem polubił go, i dał mu swą córkę za żonę.

Józef Górecki.

PODJAZD TATARSKI.



Tatarzy byli przez długie wieki postrachem dla Polski, a osobliwie tych jej krain, które leżały na wschodzie. Jeszcze w XIII wieku zjawili się po raz pierwszy u nas. Szli tłumem wielkim z dalekich stepów, zajęli Ruś, którą przez trzy wieki trzymali w niewoli. Główną siedzibą Tatarów w Europie był Krym, zaś poszczególne hordy tatarskie zajęły dzikie pola aż po granice Polski. Odtąd częste bywały napady tatarskie. Mieli Polacy czas i sposobność przywyknąć do bojów z Tatarami, znali dobrze sposób ich wojowania, a chociaż nieraz było ich dziesięć razy tyle, co naszych, dawali sobie radę, pędzali wracającą tłuszczę, odbierali łupy i zabranych w niewolę jeńców. Tatarzy szli zazwyczaj temi samemi drogami, które zwano szlakami tatarskimi, rozpuszczając na kraj podjazdy, zwane czambułami. Jeden z takich podjazdów wymalował J. Brandt, a podobiznę tego obrazu podajemy powyżej.

MACIEK BZDURA GADA:

Przy wojsku juz jest tak, ze porządek być musi i kropka. Siarzia to jest siarzia i ma więksy rozum od zwykłego ufermy, więc się go na kazdem kroku usanować nalezy.. A juz co do oficerów, to skoda i gadać! Niechby nawet portki pana kapitana na płocie wisiały, to jem nalezyty pokłon palcami przy dasku oddać nalezy. Bo przecie wiadomo, ze i kapitańskie portki są częścią samego kapitana i nie mozna se wyobrazić, cy mógłby być kapitan bez portek.

Przy wojsku to najlepiej być pucerem u jakiego oficerskiego kawalira. Robota niewielka a obrywki są różnorakie. Casem się trefi jaki niedojedzony kawałek ścirwa, casem się chlapnie z oficerskiej butelcyny cojnieco śnapsika, nierzadko podpali se cłek pozostawionych kumetków i jakosik tam zycie schodzi. Coprawda to i robota jest, bo to trza do miasta iść po zakupy, to buty na glanc wycyścić, to wysukać jaką miłosierną niewiastę, któraby se wiecorem z panem oficerem pogwarzyła. Ale robota taka nie trwa długo, bo juz po połowie miesiąca zakupować niema z cego, a zadna dzieuska zadarmo na pogadankę nie przyjdzie. Ino buty ciągiem trza pucować, az gicale bolą.

Jeden taki pucer z nasyj kompanije, który całemi dniami ni miał co robić, ulubił sobie karty i całemi dniami kład pasyjanse. A tak se je ulubił, ze raz wziął sobie je nawet do kościoła i w casie nabożeństwa niemi się bawił. Uwidział to pan kapitan i hulajze z niem do raportu.

Przy raporcie pyta się go pan kapitan:

— Co macie do powiedzenia na swoją obronę?

— Bardzo wiele — powiada bidny pucerzyna.

— Tem lepiej, bo gdy się nie obronicie, ukarzę was tak surowo, jak nikogo dotychczas!

— Panie kapitanie, ja tam wiem, ze cłek nie powinien do kościoła po durno chodzić; powinien się modlić z książki i prosić o zdrowie la pana kapitana. Ale przecie wiadomo, ze cłek na książkę piniędzy nima. Te parę grosy, jakie co dziesięć dni dostajewa, ledwie wystarcą na tytoń do fajki. A modlić się trzeba. Na książkę mnie nie stać, więc wziąłem do kościoła karty, com je dostał od mojego pana. I właśnie z tych kart się modliłem.

— Co pleciesz, cyganie jakiś! — oburzył się pan kapitan.

— Nie pletę, ale mówię scyrzusieńką prawdę. Tuz abo po wasemu as przypomina mi, ze jest jeden Bóg, dwójka, ze jest Bóg-Ojciec i Bóg-Syn, trójka, ze jest Trójca święta. Cwórka przywodzi mi na myśl styrech świętych Ewangelistów, a piątka pięć roztropnych dziewic biblijnych. Szóstka mówi mi, ze Poniezus stworzył świat w sześciu dniach, a siódemka, ze siódmego dnia, jak hrabia, odpocywał. Ósemka przywodzi mi na pamięć ośm błogosławieństw Bożych, a dziewiątka dziewięć grzychów cudzych. Dziesiątka moze oznacać dziesięć przykazań Bożych. Król przypomina mi, ze Poniezus jest Królem wszyćkiego stworzenia, a królowa abo dama ową królową Sabę, która odwiedziła króla Salamona...

Tu pucer zawahał się trochę, a gdy nic nie mówił, zapytał go pan kapitan:

— No a walet? Cóz o niem powis?

— Walet to jest taki chłopak, który sam nic nie robi, a inksych po raportach wodzi.

Nie rozgniewał się pan kapitan, choć to była do niego przymówka, ale się jesce uśmichnął i pada:

— Dobrześ to wykalkulował, ale kart do rzecy świętych misać się nie godzi. Zebyś to był tak co świeckiego powiedział, to mozebym ci był i winę darował.

— No juści, ja se świeckie zostawił na ostatek, bo przecie zawse i wszyćko trzeba od świętości zacynać. A jak pan kapitan chce świeckie, to niech będą świeckie. A więc karty służą mi także jako kalendarz. Jak wiadomo, porządna talja ma 52 karty, a i to wiadomo, ze rok ma 52 tygodnie. Gdy licę wszyćkie znaki w kartach, to narachuję ich 356, cyli tyle, ile jest dni w roku. W kartach jest styry rodzaje kart, cyli styry kolory, a więc tylusieńko, co tygodni w miesiącu. Jak się w kartach porachuje wszyćkie figury, to będzie ich tyle, co miesięcy w roku... Zatem, jak pan kapitan widzi, talja kart słuzy mi jako biblja, książecka do modlenia i kalendarz, a przecie tych rzecy i w największem kościele uzywać wolno.

— A niechze cię gęś wszyćkiemi styremi łapani kopnie! — roześmiał się kapitan i darował pucerowi karę.

Noc letnia.

Jeszcze zorza złocista płonie na zachodzie,
A już gwiazdka maleńka w białych chmur obwodzie,
Jak anioł stróż wysłana zaświeciła ziemi
Zmruża maleńkie oczko, błyszczy się, rumieni
Czasem gaśnie w błękicie, lecz wkrótce wypływa
A nowych gwiazd tysiące wokoło przybywa
Aż pokryły sklepienie, małe migocące,
Jako kwiatki na wiosnę, na zielonej łące.
Gdzieś pod lasem gra Janek swe dumki na flecie,
Smutne, jak jego dola sieroca na świecie,
Las je powtarza, łkając żałobnemi tony
Które coraz smutniejsze biegną przez zagony
Do wszystkich chat wieśniaczych, aż giną w oddali.
Stłumione szumem o brzeg igrającej fali.
Wtem chór żabi ze stawu koncertem uderza,
Który widniał za wioską jak tarcza puklerza,
Z boków trawą, sitowiem gęsto zarośnięty
Wśród której wił strumyk bystrej wody skręty
Posrebrzanej promieniem bladego księżyca,
Który świecił na niebie, jak gromniczna świeca
Głosów coraz przybywa: złączone brzmią razem,
Jakby ktoś mówił prędko wyraz za wyrazem,
Melodyjnie, z poczuciem języka głębokiem,
Z napięciem, które muzyk nazywa wysokiem.
Żaby już pomęczone chwilę grać przestały
Gdy nowe głosy ze wsi chórem się ozwały.
To dziewczęta wiejskie po skończonej robocie,
Usiadły na ławeczce przy kościelnym płocie,
I wyśpiewują dobroć Najświętszej Panienki.
Lecz niedługo śpiewały, bo słowik nad rzeką
Rozpoczął nocne trele: z mrużoną powieką
Słuchały prawdziwego miłości wyznania,
Które już słowik śpiewał do samego rana.

Józef Foryś.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Raguza II.

Z dawnej świetności Raguzy dziś niewiele pozostało. Do ciekawszych gmachów tamtejszych należą: Dogana, czyli Urząd celny, pałac rektorów z kamiennemi przyzbami, na których zasiadali senatorowie, barokowa katedra z zakrystją, mieszczącą w sobie bogaty skarbiec, a w nim drogocenne relikwjarze, sadzone klejnotami i wykwintne okazy złotniczego kunsztu z XIII wieku, barokowy również kościół św. Błażeja. Wszystko to stoi tuż obok siebie na placu mniejszym od Małego Rynku w Krakowie. Dwa pierwsze gmachy nacechowane są szlachetnością architektonicznych pomysłów, prostotą i wytwornym rysunkiem arkad, okien i kapitoli. Znać tu bezpośredni wpływ weneckich artystów, wzywanych do zabudowania maleńkiej, lecz zasobnej Rzeczypospolitej, broniącej zapalczywie swej niezawisłości, ale biorącej w wewnętrznym swym ustroju, jak zewnętrznym kształcie Wenecję za wzór i zwierciadło doskonałości.



Studnia przed rektoratem.

Mieszkańcy Raguzy z wybranym przez siebie rektorem na czele umieli łączyć kupiecką zapobiegliwość z wielkopańską okazałością, zbogacali się i równocześnie budowali kościoły, gromadzili skarby i hojną ręką nimi szafowali, wystrzegali się zarówno lekkomyślnej rozrzutności, jak szpetnego sknerstwa. Tym dziedzicznym zaletom szlacheckich rodów raguzańskich zawdzięczała Raguza rozkwit i 1000-letnie istnienie wśród wrogich warunków, mnogich i rozlicznych trudności. Gmachy publiczne i domy prywatne noszą oligarchicznie jakieś piętno, niezatarte nawet na rozwalinach i sypiących się gruzach.



Podwórze w pałacu rektorów.

Naprzykład taka raguzańska Dogana jest klejnotem, istnym cackiem budowniczej sztuki. Tylnym frontem dotyka portu, strzeżonego niegdyś przez cztery dotąd zachowane baszty pod wezwaniem czterech Ewangelistów, zamykanego ongiś na żelazne łańcuchy, a że ruch handlowy omija teraz to wybrzeże, więc tam, gdzie dawniej mieściły się postawy sukna, sztuki jedwabiu i altembasu, teraz powstały stragany dla sklepikarzy, zaopatrujących miasto w ryby i jarzyny.

Niemniej piękny jest stojący tuż obok pałac rektorów. Na naszych dwóch pierwszych obrazkach widzimy dwa fragmenty tego pałacu, a mianowicie bogatą studnię przed tymże pałacem i podwórze w pałacu.

Raguza przestała być przed laty niewielu fortecą w dzisiejszem słowa tego znaczeniu, istnieją jednak dotąd forty: Imperial i San Lorenzo, zwany małym Gibraltarem dalmatyńskim i panujący rzeczywiście swem położeniem nad Raguzą z jednej a Gravesą z drugiej strony. Fort ten widzimy na naszym trzecim obrazku.



Port San Lorenzo w Raguzie.

U jego stóp zieleni się piękny ogród botaniczny, a wokoło rozsiadły się domki i pałacyki mieszkańców nowoprzybyłych, przekładających nowoczesne mieszkania z widokiem otwartym na morze i okolice nad ciemne i ciasne domy ulic raguziańskich.

W południowej dzielnicy miasta znajdują się dwa piękne klasztory, a mianowicie Franciszkański i Dominikański z pięknymi wirydarzami, wśród krużganków o misternych łukach, kolumienkach, dzierganych jak koronka trójlistnych okienkach, dopełniających artystycznej całości. Poza obrębem murów ciągnie się obszerny, muzułmański cmentarz, gdzie chowano dawniej członków załogi tureckiej, a gdzie teraz już od lat wielu nie chowają nikogo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REC.

Dzwon na Anioł Pański.

Nowela.

I.

Akurat zadzwoniono na Anioł Pański, gdy stara Brożkowa dochodziła do wsi. Śpiewny, dźwięczny głos dzwonu leciał po wieczornej rosie, kołował ponad wsią, obiegał wszystkie jej zakątki, zaglądał do każdej chaty, muskał aksamitem swych skrzydeł czuby kwitnących lip, rozłożystych jabłoni, szeleścił bezgłośnie w liściach, uginający się pod ciężarem owoców, gruszy, przypadał ku ziemi, by ucałować załzawione brylantową rosą płatki wonnych kwiatów, to wzbijał się wgórę hen aż ku chmurom, to opadał w dół, jako te zwinne jaskółki. Nabrzmiały radością, zaglądał w roześmiane, niebieskie oczęta pacholąt wiejskich, to znów pełen smutku i boleści serdecznej przepływał ponad mogiłami cichego cmentarza, słał pozdrowienie okurzonym wędrowcom i zagadywał przyjaźnie do spracowanych koni dworskich. Wreszcie śmignął w nagłym porywie ku czerniejącemu na horyzoncie boru, rozbudził w nim echa, zawrócił, zawirował nad stawem, jęknął poraz ostatni i rozpłynął się zwolna w wieczornej ciszy.

Brożkowa przystanęła i, zwróciwszy się ku gasnącemu słońcu, szeptała: „Zdrowaś Marjo!... Łaskiś pełna!"... Twarz jej wychudłą, pooraną zmarszczkami, oczy zamglone łzami rozmodlenia i całą postać przygarbioną, a wyschłą oblewało słońce strugami różowych promieni. Ona stała zasłuchana w głos dzwonu, który był już dawno umilkł. Nie spostrzegła tego. W jej duszy grał nadal dzwon, zwiastujący pokój ludziom dobrej woli. — Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą... Panie, nie opuszczaj mnie, która jestem sama... Wejrzyj na mnie z niebios i nie daj zginąć biednej sierocie. Nie każ mi się błąkać pomiędzy obcymi, kiedy zabrałeś mi moich, a pozwól spocząć po trudach żywota i weź mnie do Królestwa Twego. Zdejm, Panie, ciężar życia z mych bark i powołaj mnie do Swej Chwały Niebieskiej, lecz dziej się Twoja Wola, a nie moja. Dłonią otarła łzy, wzięła węzełek do ręki i ruszyła przed siebie.

Słońce chwytało się już wzgórza. Wielka jego tarcza, niby krwawa hostja, sypała szczodrze rubinowe blaski, malując niemi płachty dojrzewających zbóż, szczyty drzew i dachy domów, które rozłożyły się poniżej na dnie płaskiego, szerokiego wąwozu. Schodząc grzbietem pagórka, widziała Brożkowa całą wieś jak na dłoni. Pierwsze, co się rzucało w oczy, to niewielki kościółek, otoczony wieńcem kopulastych lip, dalej dwa szeregi domów, które rozsiadły się w sadach po obu stronach drogi i wąska, kręta rzeczułka. Z poza każdego prawie domu wybiegała dróżyna wiodąca w pole i ginąca na widnokręgu tak, że cała połać wzgórza była pocięta na szersze lub węższe paski, te zaś pokrajane były na kwadraty, prostokąty zasiane żytem, pszenicą, zasadzone ziemniakami czy burakami. Nad gęstwą sadów i gromadą chat górowała wieża kościelna. Krzyż na jej szczycie zdawał się błogosławić te niskie strzechy, szmaragdowe łąki i rozległe łany.

Wieś nazywała się Brzeziny, a Brożkowa szła do swoich krewniaków Drążków, którzy tu mieszkali. Szła szukać przytułku. Ona miała w przyległej wsi swój własny dom i kawałezek pola, lecz stara była i nie mogła sobie już sama dać rady. Dom i pole wymagało pracy, a ona ze swoją sześćdziesiątką już jej nie mogła podołać.

Dawniej, kiedy jeszcze miała męża i kochaną córkę Jadwisię, czuła się tam jak w niebie, lecz przed kilkunastu laty straciła obydwoje. Najpierw męża, a wkrótce i córkę. Jak długo jednak mogła i dopóki czuła się silną i zdrową, dotąd nie porzucała domu, w którym tyle zaznała szczęścia, lecz od jakiegoś czasu zaczęła podupadać na siłach i przytem ciążyła jej strasznie samotność. Zamknęła więc dzisiaj dom



Ona stała zasłuchana w głos dzwonu...

na kłódkę, zawiązała trochę „łachów" w węzełek, schowała „za pazuchę" tę trochę pieniędzy, którą uzyskała ze sprzedaży krowy i szła szukać schronienia i życzliwego serca u Drążków.

Zawszeć to krewniacy. Drążkowa wypada jej cioteczną. Przecież może nie wyrzucą jej za próg, zwłaszcza, że nie przychodzi do nich z gołemi rękami. Odda im te pieniądze, co je dostała za krowę, odda. Wypuści im i ten kawałek świętej ziemi, byle ją tylko przygarnęli. Gdyby nie chcieli, będzie ich prosić, błagać na kolanach, aż ulitują się nad nią starą i opuszczoną. Wytłumaczy im, że przecież zyskają na tem, gdy ją przyjmą. Z takiego kawałeczka, jaki ma, sama wszystkiego nie zużytkuje, co zostanie, będzie ich. Jej nie trzeba dużo. Ot, byle łyżkę strawy i jaki kąt, gdzieby złożyła umęczoną głowę.

Takiemi myślami zaprzątnięta, zdążała przez wieś ku domostwu Drążków. Mijała po drodze gromadki pastuchów, którzy pędzili bydło z pastwisk i powracających od pracy robotników dworskich. Po domach szykowano się do wieczornego posiłku. Tu i ówdzie buchał z komina gęsty, ciemny dym i wzbijając się prosto w górę, świadczył o przyszłej pogodzie. Skądś, z otwartych drzwi dolatywał płacz dziecka, ktoś zawołał przeciągle na kury, skrzypnęły gdzieś zawierane wrota, zaturkotał wóz w oddali i pies zaszczekał czasem.

II.

Trafiła do Drążków na wieczerzę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła, przestępując próg.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli tamci od stołu.

— Kogo jo widze?! To wy siostro? Jak sie mocie? — witała ją Drążkowa. — Chodźcie bliży, nie stójcie przy progu, siadejcie-no na ławce! Czy wy to jakisi węzołek niesiecie?

— A niese.

— Wybierocie się dziesi, cy jak? — rzucił Drążek na powitanie — i to tak na noc?

— O, ide se-ta dzie...

— No, a wy przywitałyście sie z ciotkom? — zwróciła się Drążkowa do dzieci.

Pokładły łyżki na stole i każde podeszło ucałować rękę ciotki, poczem — jakby zawstydzone tym swoim uczynkiem — wtuliły się w kąt za łóżkiem. Troje ich było: dwóch chłopców, jeden piętnasto, drugi trzynastoletni i ośmnastoletnia dziewczynka.

— A dzie to ta... Jak ji to na jimie? — zawahała się Brożkowa.

— Hanka? — wtrącił Drążek.

— Tak, tak, — dzie ona?

— Na służbie, moiściewy, a jagże! Jeszcze łod Gód. Dziebym dała rade uchować tyla ludzi z takiego kawołecka? A tu, widzicie, zarobić nima dzie, teroz kmieć nie zawoło, som łobrobi, som zji. Trza było jo z domu wypchać, niech se-ta zarobio na siebie u ludzi. Do dwora-m ji nie chciała dawać, bo tam ino robota je, a nie zorobek, przysed po nio jeden gospodarz z Hrećkówki i wzion jo na służbe.

— Zdrowiście tu wszyscy mocno? — dowiadywała się Brożkowa.

— Bogudzięka — odrzekł Drążek — a jak tam wy?

— Pomaluśku!

Zaczęli obydwoje rozmawiać o pogodzie, o nadchodzących żniwach, o urodach... Drążkowa za ten czas zakrzątnęła się koło kolacji dla siostry. Postawiła przed nią tłuczone ziemniaki na glinianej misce, garnuszek kwaśnego mleka i rzekła:

— Chcijcie jeść, siostro!

— Łooo! niegłodnam, nie bede — wymawiała się Brożkowa.

Ale kiedy zaczęli ją Drążkowie usilnie nakłaniać, przełknęła parę łyżek ziemniaków, chwaląc je głośno przed nimi i wypiła ów garnuszek mleka.

— Bóg wom zapłać, moji piekni, pojadłam se, że jaz! — dziękowała im.

— Nima za co!...

Drążkowa pozbierała naczynie, pozmywała je i napędziła dzieci do domu:

— No, wy do pocirza i spać!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dziecię swobody!

Dzień był lipcowy, słońce słało swe złote promienie na ziemię. Wokoło cisza. Lekki powiew wiatru musnął niby ręka muzyka strun gitary po wierzchołkach lip kwieciem obsypanych.

Cała natura wabiła mnie do siebie, swym czarem uroku lipcowego. Wśród tego otoczenia Boskiej natury, byłem jakby odurzony. Wzniosłem się do krainy marzenia, jakby po użyciu większej dozy opjum. Jak długo trwałem w tej miłej ułudzie bezczynu, określić nie mogę. Dopiero z zadumy tej wyrwał mię jakiś szept. Lecz szept ten nie był zwykłym szeptem mowy ludzkiej, jeno szeptem natury, dla niektórych tylko zrozumiały. Nadstawiłem ucha. Leciuchny wiaterek doniósł mi od strony pachnących lip:

— Ach, jak się cieszę, iż każdy z przechodniów podziwia me cudnie pachnące kwiecie i dlatego też wysyłam we wszystkich kierunkach ogromne ilości pyłku, który ludzie zapachem zwą, aby ich przywabić do siebie, bo tak mi miło w towarzystwie. O! jak jestem dumną, jak się czuję szczęśliwą, gdy kogoś ukoję, gdy komuś otuchy dodam, albo wlać mogę do serca nowe tętno życia. A oni idą szczerzy, otwarci pod moją osłonę.

Tak sobie jedna z nich mówiła.

Wszystkie słuchały. Jedna tylko młodziuchna na te słowa wygięła się w tę, to znów w drugą stronę i jęknęła, lecz jęk ten był podobny do lamentu kochającej dziewicy, po stracie swego wybranka.

— Każde lato pięknie się ubierałam i byłam szczęśliwą, bo co dnia przychodził do mnie młodzieniec, jak rybka wesół, jak dziewica miły. O! — jakże czułam się szczęśliwą, gdym zlekka musnęła jego bujnych włosów, jego lic rumianych, listeczkami swemi. A te oczka błyszczące powagą mądrości i energji młodzieńczej. Ach! całą siebie złożyłabym u stóp jego, aby znów choć przelotnie w nie spojrzeć. Niestety zawiodłam się; zawiodłam się na tym, którego zjawienie się stwarzało dla mnie mój odrębny światek, idealny, wymarzony. Nie przyjdzie może nigdy, bo mnie zdradził, zapomniał dla piękniejszej odemnie. Ach ja nie mogę zapomnieć tej twarzy roześmianej, wesołością promieniejącej. O! czemuś mnie porzucił niewierny dla innej, czemuś wogóle przyszedł.

Przez chwilę zaległa cisza, którą rozdzierał bolesny lament złotej lipki.

— O! jak śmiesz tak o nim mówić? — niewierna! o tym, którego nasza pierś wykarmiła, o tym, który naszym jest wychowankiem, — rzekła z nich jedna. — On nie z pustoty zapomniał o tobie, lecz z boleści. W sercu jego młodem rozgościł się pierwiastek dotąd nieznanej szlachetnej miłości. Pokochał wprawdzie tak samo piękną, czarującą, ale nie lipkę, boś ty wśród nas najpiękniejszą, lecz dziewicę, jak on niewinną, jak on szlachetną. Jednakże nie jemu przeznaczenie szczęście przekazało. I dzisiaj tak smagany nieszczęśliwą ręką losu w żaden sposób nie może się uchronić od jej dotkliwych ciosów. Dotychczas mężnie znosił te ciosy, kiedy jednakże nieszczęścia, jak grom po gromie, spadały na jego głowę, załamał się. I oto powód, nieszczęsna, że w tej ogromnej rozterce duchowej zapomniał się. Może jeszcze zobaczymy go, a wtedy musimy wlać otuchy, do serca jego; musimy ukoić ból jego, musimy! — powtarzam, bo to nasz wychowanek, jemu marnie zginąć niewolno. Musi stąd odejść, jak niegdyś uśmiechnięty, nowem życiem promieniejący.

Zamilkła ta poczciwa lipka, poczem zapanowała niczem niezmącona cisza.

Nagle gdzieś z dali doleciał nas cichy odgłos kroków; stąpanie choć powoli jednak coraz wyraźniejszem się stawało. W zakręcie zarysowała się sylwetka mężczyzny chwiejącego się w tą to w ową stronę. Miałem wrażenie, że to idzie ofiara nałogu. Tak był to on rzeczywiście. Pijany, lecz nie z wódki, tylko z ogromu nieszczęść, spadających na jego barki. Na widok tego mężczyzny lipki wszystkie razem zaszeleściły i krzyknęły:

— To on! Ten młodzieniec nieszczęsny!

Poznały go zdaleka te szlachetne drzewa. A on szedł powoli niepewnie, aż przyszedł ku swej młodej lipce, oparł się o jej piersi i milczał, utkwiwszy wzrok błędny w jednym punkcie.

Długo tak trwał w milczeniu, aż z jego piersi zbolałej przez zaciśnięte zęby wyrywa się krótkie

niby syk — westchnienie, odgłos ciężkiej walki wewnętrznej. I znowu przez chwilę zaległa cisza i znów westchnął chłopiec młody, lecz to westchnienie głazy nieczułe z miejsca ruszyćby zdołało.

Zaszlochały lipy nad nieszczęsnym młodzieńca losem. Zaś owa lipka, jego jasną główkę gałązkami swemi, jak niegdyś pieszczotliwie gładzić zaczęła. On to zrozumiał, podniósł wzrok do góry i wpatrzył się w jej złocistą szatę. Stał tak długo, jak posąg. Do jego ócz spłynęła cała dusza szlachetna, potężna w tym momencie. Lipy ani drgnęły, by szelestem nie spędzić z czoła młodzieńca swego spokoju i pogody. Poruszył się wreszcie i jeszcze płomienniejszym oblał ją wzrokiem i wyszeptał:

— O! jak bardzo swą szlachetnością podobną jesteś do tej, którą ja pierwszą miłością pokochałem. O! jak szczęśliwym byłbym, gdybym choć raz ten skarb najdroższy uścisnąć mógł. Niestety wszystko przeciwko mnie sprzysięgło się. Koledzy moi, zamiast mi pomóc, starają się mnie przed nią stawić w jaknajgorszem świetle, aby ją może dla siebie pozyskać...

I podniósł wzrok do góry.

— O Boże! — błagalnym rzekł głosem. — Dodaj mi otuchy i mocy do walki, do walki z tym okrutnym losem.

Usta jego znów się kurczowo zacisnęły i znów toczył walkę rozpaczy ze swą stalową wolą.

Nagle zaszumiały lipy, jakgdyby cały świat do walki wyzywały i rzekły łagodnie do zrozpaczonego młodzieńca:

— O bądź spokojny, młodzieńcze, i nie oddawaj się rozpaczy, bo to cię zgubi. Ilekroć razy ścigać cię będzie okrutna ręka losu, przyjdź do nas, jak dawniej cię pocieszymy.

Zrozumiał to młodzian szlachetny, wzniósł czoło do góry, nie chmurne, lecz pogodne, nie roztargnione, lecz spokojne z wiarą w lepszą przyszłość.

I znowu owa młoda lipka swego ulubieńca gałązkami swemi pieścić zaczęła. Złożył młodzieniec za te pieszczoty na jej cudnym kwieciu serdeczny pocałuenk. Potoczył wzrokiem dokoła i znów powoli stawał się takim, jak niegdyś wesołym, lecz już nie tak szczęśliwym. Poił wzrok w złocistych lipkach, a one stały dumne i szczęśliwe.

— Pożegnam was dzisiaj, lecz niedługo a znów razem będziemy. O bądźcie zdrowe królewskie wy drzewa, co do serca mego nowe tętno życia wpoiłyście. Przyszedłem tutaj z myślą pożegnania się z wami nazawsze, a odchodzę pocieszony z nowem życiem w sercu.

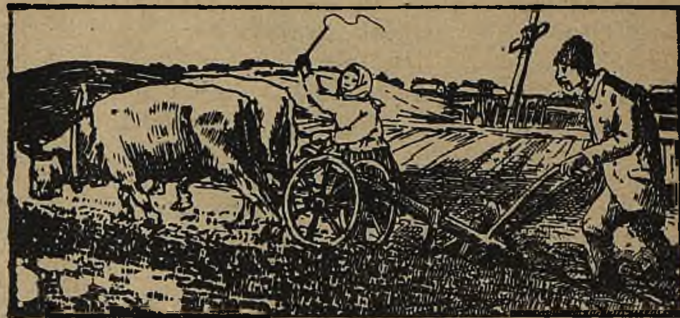
Odszedł młodzien, a lipki szumieć zaczęły na pożegnanie, mówiąc:

— Żegnamy cię, wychowanku drogi, pamiętaj, że od nas pomoc otrzymasz w każdej chwili, chociażby najkrytyczniejszej.

Patrzały za nim szczęśliwe, aż znikł im z oczu. Przypomniały mu te lipki, że jest ktoś potężniejszy od ludzi. — To Bóg! Widział On jego ciężką walkę, wysłuchał tej błagalnej prośby i przez te złociste lipki pociechę zesłał. Lecz zrozumieć ten głos natury potrafi tylko szlachetny syn tej ziemi, których obecnie jest tak mało.

Zrozumiał go też ów młodzieniec, bo któżby go lepiej mógł zrozumieć, jak nie on, dziecię swobody, wychowanek łąk, lasów, pól i tych naszych lipek. On! który od wczesnej młodości garnął się na jej łono, on, który każde jej drgnienie doskonale zrozumieć potrafi.

I któżby lepiej potrafił ukoić w tej chwili ból jego? — jak nie ta, która na swojem go łonie wychowała. I pokochała go też matka Natura, nań oko miała, gdyż wiedziała, że z chwilą, kiedy on zginie, utraci znów jednego ze swych obrońców. To też w tej okropnej rozterce ducha, pośpieszyła mu chętnie z pomocą, bo przecież do tego dopuścić nie mogła, by jedno z jej dzieci najmilszych marnie zginąć miało. *Kazimierz Żurek.*



Poradnik gospodarczy.

Mieszanki pastewne na ścierniskach.

Zasiewać je możemy tylko po roślinach wczas schodzących z pola, jak np. żyta, rzepaku, jęczmienia ozimego i t. d. Cel uprawy poplonów może być dwojaki: siejemy je dla uzyskania z nich paszy względnie dla przyorania na zielony nawóz. Poplony należy odróżniać od międzyplonów, które wysiewamy z wiosną w rozwijającą się już roślinę główną. Chociaż stosowanie poplonów rozpowszechniło się bardzo znacznie w ostatnich dziesiątkach lat, to jednak jeszcze nie tak, jakby należało. Ze względu na korzyści, jakie uzyskujemy z uprawy poplonów, powinny być one stosowane w każdem gospodarstwie. W porównaniu z międzyplonami, względnie, jak one właściwie się nazywają, śródplonami, posiada uprawa poplonów dwie wady, a to: 1) wymaga większego nakładu pracy i to właśnie w tym czasie, kiedy w gospodarstwie jest jej już i tak wiele; 2) udanie się poplonu jest jeszcze więcej, niż śródplonu, zależne od opadów atmosferycznych, które następują po sprzęcie zboża. Opłacalność uprawy poplonów jest prawie zawsze pewną i w naszych warunkach nie jest połączoną z wielkiem ryzykiem, jeżeli tylko będą zasiane w odpowiednim czasie.

Ze względu na to, że decydującą rolę odgrywa termin siewu poplonu, rolnik, który zdecydował się na jego siew, powinien wszystko wcześniej przygotować tak, aby, kiedy przyjdzie odpowiedni moment, mógł niezwłocznie przystąpić do pracy. Pamiętać należy o tem, że jeden dzień sierpnia więcej znaczy dla zasianej rośliny i może więcej wegetację naprzód posunąć, niż nieraz dwa tygodnie lub cały miesiąc we wrześniu lub październiku. Zdarzają się wprawdzie lata, kiedy may długą i ładną jesień, a wówczas zasiane poplony bardzo dobrze rosną nawet i w tym czasie, normalnie trwa to jednak tylko krótko, a chłodne noce powstrzymują wegetację. Pośpiech, jaki przy uprawie poplonu każdego obowiązuje, ma przedewszystkiem na celu lepsze wykorzystanie wyższej ciepłoty, zarówno atmosfery, jak i gleby, oraz wykorzystanie wilgoci, jaka jeszcze w glebie się znajduje pod osłoną rośliny głównej. Pozostawienie pola po sprzęcie zboża, choćby tylko przez

kilka dni w tem stadjum, może spowodować dla braku wilgoci częściowe nieudanie się poplonu. Za zasadę przyjąć należy, żeby zasiewu poplonu dokonać w sierpniu.

Zebrane możliwie jaknajrychlej zboże winniśmy natychmiast związać i ustawić w rzędach, o ile możności dość od siebie odległych. Jeżeli to jest zrobione, nie trzeba czekać, aż zboże będzie zwiezione, lecz natychmiast możemy wykonać orkę i siew rośliny. Po zwiezieniu zboża należy resztę pola (to znaczy te pasy, gdzie stało zboże w snopach) uprawić i zasiać, często jest to jednak możliwe dopiero po upływie jednego lub półtora tygodnia. Co do wykonania samej uprawy, to stosunkowo najlepszą będzie przy pomocy pługa, którym rolę niezbyt głęboko (na 10 do 12 cm.) orzemy. Za pługiem puszczamy włókę lub lekką bronę, poczem pole, zależnie zresztą od jego poprzedniego stanu pogody, oraz stosunków wilgoci, możnaby uważać za przygotowane do siewu.

Obok i zamiast pługa używają czasem do uprawy poplonów na ścierniskach brony talerzowej lub kultywatorów. W Niemczech znajdują się już obecnie specjalne narzędzia do uprawy poplonów na ścierniskach, polegające zazwyczaj na połączeniu dwu maszyn ze sobą, np. pługów, bron talerzowych lub kultywatorów wraz z siewnikami. Pracę to oczywiście bardzo upraszcza.

Sam siew plonu możemy wykonać ręcznie lub maszynowo. Jak zawsze, tak w tym ostatnim wypadku siew maszynowy jest lepszy. Po zasiewie wpuszczamy zazwyczaj powtórnie lekką bronę. O ile gleba była dosyć wysuszona, to nie obejdziemy się bez zastosowania walca, po którego przejściu należy glebę bronować. (Niektórzy rolnicy uważają wprawdzie, że przy uprawie poplonów, po wałowaniu gleby nie należy bronować, tłumacząc to obserwacją i rozumowaniem, że niebronowanie pola po zwalcowaniu, powodując większe wsiąkanie wilgoci z głębi do powierzchni, ułatwia kiełkowanie, a co za tem idzie, i szybszy ich rozwój. Prawdopodobnie zależy to wszystko od warunków glebowych oraz stanu pogody. Każdy rolnik powinien pod tym względem, podobnie, jak to i w wielu innych wypadkach, kierować się doświadczeniem własnem oraz swych sąsiadów).

Przy braku opadów deszczowych bardzo utrudnioną jest uprawa poplonów na glebach zwięzłych, które w wypadkach swego zeschnięcia po sprzęcie zboża, o ile przyjdą opady, są tak twarde, że prawie niemożliwą jest na nich jakakolwiek praca narzędziami.

Należy również pamiętać o tem, aby poplony zasiewać dość gęsto. Uprawiamy je przecież na paszę lub na zielony nawóz, tak jedne, jak i drugie nie potrzebują siewu rzadkiego i przyniosą większą korzyść, jeśli będą zasiane gęsto. Tylko wtedy ocieniają one glebę dostatecznie, chroniąc ją przed nadmierną utratą wilgoci, odchwaszczają glebę oraz dają duży zbiór masy zielonej.

Poplonami nazywamy rośliny, które zasiewamy po zbiorze rośliny głównej.

Po należytem uskutecznieniu siewu poplonu udanie się ich uprawy zależy przedewszystkiem od następujących opadów atmosferycznych. Jeśli dłuższy czas niema deszczów, to poplony tylko słabo się rozwijają, a co za tem idzie, nie dają rezultatu, jakiby dać mogły, gdyby warunki klimatyczne były sprzyjające.

Poradnik lekarski.

Żółtaczka.

Choroba, zwana żółtaczką, objawia się zewnętrznie przez żółty kolor skóry na całem ciele, oraz przez żółte zabarwienie białek oczu. Ten ostatni symptom wskazuje, że rzeczywiście mamy do czynienia z żółtaczką, gdyż zabarwienie skóry występuje i w innych wypadkach, nie mających z tą chorobą nic wspólnego.

Żółte zabarwienie skóry nie jest samą chorobą, lecz jej oznaką. Spowodowane jest ono przez dostawanie się żółci do krwi, która rozprowadzając żółć po całem ciele zabarwia skórę na ten kolor.

Żółtaczka może powstać z kilku przyczyn. Może być to niedomaganie woreczka żółciowego w postaci kamieni żółciowych, zwężenia przewodów żółciowych i t. p. Wówczas żółć, nie mogąc dostać się do przewodów pokarmowych, przedostaje się do krwi. Przy takim wypadku chory odczuwa przedewszystkiem lokalne bóle w okolicy wątroby. O ile leczenie nie da wyniku, potrzebna jest operacja.

Najczęściej spotyka się tak zwaną kataralną żółtaczkę. Objawami jej są ostre niedomagania żołądka. W kilka dni potem następują wymioty, biegunka, ogólne osłabienie, lekka gorączka. Niedomagania te wkrótce ustępują, chociaż zabarwienie skóry pozostaje przez dłuższy czas, co jednak nie przeszkadza choremu zająć się lekką pracą.

Gorszym rodzajem żółtaczki jest powstanie jej z powodu zatrucia organizmu. Nastąpić to może wskutek spożycia niezbyt czystych owoców i produktów w porze letniej, dalej wskutek zatrucia organizmu przez fosfor, arsen, oraz grzyby trujące. W takich wypadkach konieczne jest leczenie samego zatrucia.

Pozatem, występuje żółtaczka po tyfusie zwykłym i powrotnym, zapaleniu płuc, malarji i żółtej gorączce, u nas, na szczęście niespotykanej.

Najgorszy wypadek żółtaczki, który pojawił się podczas i po wojnie, a którego przyczyny nie zostały dotychczas stwierdzone, objawia się wysoką temperaturą, utratą przytomności, bólami głowy i mięśni. Równocześnie cała skóra i błony śluzowe zdradzają tendencję do krwawienia, poczem przeważnie następuje śmierć. Na szczęście wypadki w tej formie są rzadkie.

Pozatem, może powstać zabarwienie skóry na żółto z powodu choroby krwi, lecz jest ono wówczas bez znaczenia, podobnie jak przy wypadkach ciężkiej anemji. Także występujące u noworodków takie zjawisko jest przejściowe i bez znaczenia.

Rozpowszechnione mniemanie, że wielka irytacja, wzburzenie i t. p. może spowodować żółtaczkę, jest bezpodstawne.

Przy leczeniu konieczne jest stwierdzenie powodu ukazania się żółtości na skórze. Przy zwykłej formie, można przed udaniem się do lekarza, o ile niema wymiotów, gorączki lub biegunki, spróbować usunięcie tego przez wzięcie na przeczyszczenie i zmianę pożywienia, którego ilość należy ograniczyć do minimum. Spożycie tłuszczów i mleka nie jest wskazane. Przy cięższych wypadkach konieczne jest, oczywiście, ustalenie przyczyny, co może tylko zrobić lekarz - internista.



KRONIKA.

Śmierć dwojga dzieci w nurtach Wisły. W Pychowicach pod Krakowem utonęło w nurtach wezbranej Wisły dwoje dzieci kierownika tamtejszej szkoły, Mieczysława Kadulskiego. Około godziny 11 przed południem wybrała się większa gromadka dzieci szkolnych, a wśród nich 8 letnia Halinka i 10 letni Wiesław, aby zobaczyć wzburzone fale Wisły. W pewnym momencie obsunął się podmulony brzeg i dwoje najbliżej znajdujących się dzieci Kadulskiego zsunęło się z błyskawiczną szybkością wraz z całą masą ziemi do Wisły. Na krzyk dzieci nadbiegli okoliczni mieszkańcy, ale na falach Wisły nie było nikogo. Biedne dzieciaki popłynęły w dół rzeki. Po dwóch dniach zwłoki dziewczynki odnaleziono, zaś chłopca dotychczas nie.

Krwawy spór majątkowy. W Bielczy, w powiecie brzeskim w czasie sprzeczki na tle majątkowem, powstałej między Janem Dańcem a jego siostrą Anną Tryczek, Daniec pochwycił za siekierę, którą następnie ugodził Tryczkową w głowę tak fatalnie, że ta w pół godziny potem umarła. Zaalarmowany posterunek policyjny aresztował Dańca, którego odstawiono do więzień sądowych w Brzesku.

Konsekracja biskupia ks. bisk. Bardy. W niedzielę, 30 sierpnia, odbyła się w katedrze przemyskiej konsekracja ks. Dr. Franciszka Bardy, rektora krakowskiego seminarjum duchownego, na biskupa. Uroczystość rozpoczęła się o godz. 9 rano. Aktu konsekracji dopełnił ks. biskup przemyski Nowak. Katedra wypełniła się po brzegi rzeszami wiernych i przedstawicielami duchowieństwa tak przemyskiej, jak i krakowskiej djecezji. Nowy biskup sufragan przemyski, ks. Dr. Fr. Barda, pracował przez lat 27 w djecezji krakowskiej na odpowiedzialnych stanowiskach katechety gimnazjalnego, a ostatnio rektora Seminarjum duchownego. Dzięki swoim przymiotom charakteru i duszy zostawił po sobie głęboki szacunek i przywiązanie tak w kołach duchownych, jak i świeckich. W chwili, kiedy obejmuje zaszczytne i odpowiedzialne obowiązki biskupa sufragana przemyskiego towarzyszą mu gorące modlitwy i życzenia krakowskich katolików, którzy podziwiali jego gorliwość apostolską, a których ujmowała głęboka jego dobroć charakteru i pogoda duszy.

Katastrofa lotnicza pod Chodorowem. Pod Chodorowem wydarzyła się katastrofa lotnicza, której ofiarą padli mjr. Paleolog, zast. dowódcy 6 p. lotniczego w Skniłowie, oraz mjr. Chaberek, dowódca dywizjonu szkolnego. Katastrofa wydarzyła się w czasie ćwiczeń lotniczych na polach pod Chodorowem. Mjr. Paleolog i mjr. Chaberek przybyli tam samolotem na inspekcję. Po ukończeniu inspekcji wystartowali do powrotnego lotu w kierunku Skniłowa. Wkrótce po wystartowaniu samolot uległ katastrofie, prawdopodobnie wskutek defektu motoru. Obaj oficerowie doznali kontuzyj. Rannych lotników odstawiono natychmiast na dworzec, skąd pociągiem pośpiesznym przewieziono ich do Lwowa. Mjr. Chaberek doznał lżejszych obrażeń (kontuzja brody) tak, że mógł opuścić szpital. Stan mjr. Paleologa, który w katastrofie doznał poważniejszych kontuzyj, jest ciężki. Mimo poważnych obrażeń mjr. Paleolog nie stracił jednak przytomności. Katastrofa ogólnie znanych we Lwowie lotników wywołała w mieście wielkie wrażenie.

Napad na ambulans pocztowy. Na konny wóz pocztowy, eskortowany przez posterunkowego na szosie prowadzącej z Kołomyi do Peczeniżyna w odległości 6 klm. od Kołomyi dokonano napadu rabunkowego. Wóz pocztowy wyjechał z Kołomyi do Peczeniżyna z pieniądzmi, a mianowicie z sumą 13 tys. zł., które przeznaczone były na wypłatę w tamtejszych urzędach. Gdy wóz znajdował się o godz. 2.30 popoł. na otwartej szosie w odległości 6 klm. od Kołomyi, nagle padły strzały, oddane znienacka, które zabiły na miejscu posterunkowego Nowackiego, a zraniły pocztyljona. Równocześnie został ranny koń. Ciężko ranny woźnica miał na tyle jeszcze przytomności, że zaciął konie i dojechał do Peczeniżyna, gdzie w urzędzie pocztowym padł zemdlony. Zaalarmowana policja zarządziła natychmiastowy pościg celem ujęcia bandytów.

Zagadkowy mord w Piotrkowskiem. Z Piotrkowa donoszą: Na drodze majątku Kociołki gmina Grabice w Piotrkowskiem, w oddaleniu około pół kilometra od zabudowań dworskich, nieznany sprawca wystrzałem z fuzji pozbawił życia Michała Gitrusa, polowego majątku Pusociny. Przy zabitym pozostawił zabójca kartkę, na której pisze, ażeby nie starano się dochodzić, kto jest sprawcą śmierci Girusa, albowiem ginie on za uwiedzenie cudzej żony. Zamordowany był bardzo zamożnym człowiekiem, gdyż prócz zajmowanej posady polowego, był właścicielem 50 cio morgowego gospodarstwa; władze śledcze przypuszczają, że anonim znaleziony przy zmarłym ma na celu zmylenie śledztwa, a zbrodnia miała tło rabunkowe.

Wygrane dolarówki. Stosownie do życzenia naszych Czytelników będziemy stale (t. j. co 2 miesiące) zamieszczali wygrane dolarówki. W dniu 1 b. m. zostały wylosowane następujące wygrane:

40.000 dol. Nr 262703. 8.000 dol. Nr 90661. Po 3.000 dol. Nr. 538589, 289987, 543485. Po 1.000 dol. Nr. 405270, 1365131, 35356621, 1268993, 983709. Po 500 dol. Nr. 1188096, 1212357, 1027333, 105137, 177646, 1401387, 769315, 115129, 1230701, 1487722. Po 100 dol. Nr. 250812 948883 361402 699091 832265 713450 653683 1180722 1385592 680478 361085 1007288 491106 965023 244584 491619 797694 76103 724431 220139 100863 1378674 676803 1116275 869519 1243994 136894 1176680 947990 1435609 301139 660964 361942 731934 690324 1322250 746433 564756 915350 822776 19618 636162 210442 840726 867767 1499265 461394 737831 1219132 444958 871678 338840 273749 471098 1138865 1151124 1028393 878265 1299064 712306 523833 306188 696237 407241 328080 155564 306534 45465 1155648 412662 922988 1469997 302381 1291774 981257 599830 526813 514271 1239369 848020.

Napad rabunkowy na listonosza. Na drodze, prowadzącej z Pelplina do Rajkowy w pow. tczewskim napadnięty został listonosz Strong z Rajkowy przez trzech nieznanych osobników, którzy wyskoczywszy z lasu, zrzucili go z roweru i odgrażając mu się rewolwerami, odebrali mu posiadaną pocztę, oraz 2500 zł., przeznaczone na wypłaty rent inwalidzkich. Napastnicy po dokonanym rabunku zbiegli. Zarządzony natychmiast pościg doprowadził do ujęcia jednego z napastników w osobie Patawicza Michała, bez stałego miejsca zamieszkania, któremu odebrano całkowicie zrabowaną kwotę 2500 zł.

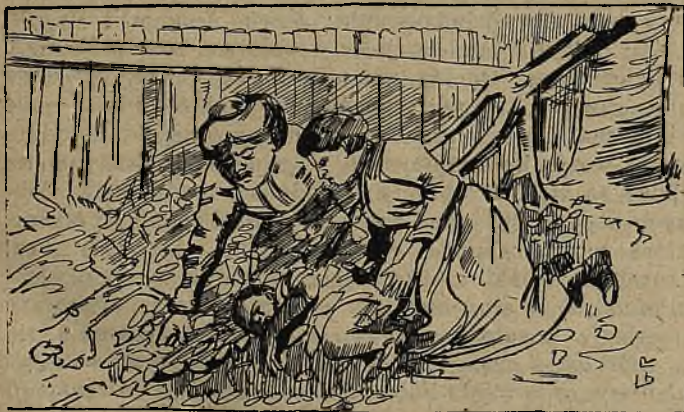
Przypadkowe wykrycie zbrodni. Niezwykłego odkrycia dokonano w jednym z domów przy ul. Półwiejskiej w Poznaniu. Mianowicie w czasie przeładowywania walców papieru drukarskiego do mieszczącej się w tym domu drukarni pod ciężarem jednego walca usunęła się z trzaskiem tuż pod oknem piwnicy domu płyta na chodniku, a po jej usunięciu ujrzano szkielet mężczyzny w ubraniu. Trup leżał niewątpliwie przez długi czas w tem ukryciu, ponieważ po dotknięciu go szkielet i przykrywające go ubranie zupełnie się rozsypały. Z dochodzeń wstępnych wynika, że był to trup mężczyzny, należącego prawdopodobnie do sfer robotniczych i że padł on ofiarą mordu, ponieważ na czaszce stwierdzono cztery ślady uderzeń. Jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, w znalezionych zwłokach rozpoznano Józefa Jankowiaka, posłańca jednego z banków poznańskich,

który zaginął w 1923 r. wraz z banknotami markowymi, przedstawiającymi dziś wartość kilkunastu tysięcy złotych. Na podstawie fałszywych doniesień przypuszczano, że Jankowiak pieniądze sprzeniewierzył i uszedł zagranicę. Obecnie okazuje się, że padł on ofiarą mordu rabunkowego, którego dopuścił się narzeczony jego siostry. W kilka miesięcy po morderstwie morderca poślubił siostrę swej ofiary i wyjechał do Francji, gdzie dotąd przebywa. Władze polskie zwróciły się do władz francuskich o wydanie przestępcy.

Zbrodnia listonosza. W miejscowości Baranowice pow. rybnickiego listonosz Sławik wiódł zacięty spór o miedzę z małorolnym Zarębą. Niebawem spór zamienił się w kłótnię, podczas której Sławik w podstępny sposób zamordował Zarębę, zadając mu ciętą śmiertelną ranę w okolicy serca. Po dokonaniu mordu morderca zgłosił się do miejscowego posterunku policji, gdzie zeznał, że napadnięty przez Zarębę działał w obronie własnej. Jednakże wszczęte natychmiast energiczne śledztwo policyjne, poparte zeznaniami świadka, wykazało niezbicie, że zeznania Sławika nie były zgodne z prawdą. Władze bezpieczeństwa osadziły mordercę pod kluczem. Ś. p. Zaręba osierocił żonę i sześcioro drobnych dzieci.

Zemsta odpalonych konkurentów. W pewnej wiosce koło Czerniowiec na Bukowinie odbywało się wesele, które zakończyło się tragicznie. Pewien zamożny wieśniak wydawał swoją córkę, która uchodziła za największą piękność w okolicy. Majętna i ładna córka gospodarza odpaliła wielu konkurentów i mimo licznych gróźb ze strony starających się o jej rękę poślubiła młodego mężczyznę, Bilińskiego. Po przybyciu gości z kościoła i po zajęciu miejsc przy stołach w ogrodzie nadeszło dwóch dawnych konkurentów i otwarło ogień rewolwerowy, kierując broń w stronę pary młodej. Para młoda, rodzice panny młodej i jeden z gości weselnych, ugodzeni kulami, runęli na ziemię. Złoczyńcy skorzystali z zamieszania i zbiegli. Rodzice panny młodej ponieśli śmierć na miejscu, zaś para młoda została odwieziona do szpitala, gdzie walczy ze śmiercią.

Śmiertelny upadek z drzewa. W Kobersdorf, małej wiosce austrjackiej, 7-letni synek tamtejszego gospodarza wspinał się na gruszę, stojącą w sadzie swego ojca. Gałąź, na której chłopiec siedział, nagle się złamała i chłopak spadł, lecz nie dosięgnął odrazu ziemi, gdyż dziwnym zbiegiem okoliczności, podczas upadku szyja jego dostała się między wąskie rozgałęzienie dwóch konarów (podobne do rozgałęzienia przy procy).



I ta gałąź się urwała, lecz upadek na ziemię był tak silny, że krtań nieszczęśliwego chłopca formalnie została zgnieciona. Chłopiec zginął straszną śmiercią od uduszenia, a nieszczęśliwi rodzice znaleźli w parę godzin później martwe zwłoki, leżące wśród liści i połamanych gałęzi.

Rezygnacja z austrjacko-niemieckiej unji celnej. Jak to już pisaliśmy, Niemcy i Austrja chciały się połączyć unją celną, czyli innemi słowy Niemcy chciały wchłonąć w swój organizm Austrję najpierw pod względem gospodarczym, a potem i politycznym. Zaprotestowała przeciw temu energicznie Francja, a do protestu jej przyłączyły się i inne państwa. Kiedyindziej może niby sobie Niemcy nie robiły z tych protestów, ale dziś, gdy na gwałt potrzebują obcej pomocy, szczególniej francuskiej, musiały od zamiaru swego odstąpić. I nie dość na tem, kanclerz austrjacki Dr. Schober i niemiecki minister spraw zagranicznych Dr. Curtius złożyli w Genewie uroczyste oświadczenie, że wspomnianej unji nie będą tworzyli. Tak tedy plan Niemiec pochłonięcia Austrji spalił narazie na panewce.

Szaleniec w samolocie. Z Berlina donoszą o mrożącem krew w żyłach zajściu, które rozegrało się z motywów dotąd niewyjaśnionych, w samolocie pasażerskim, zdążającym z Monachjum do miejscowości Fürth. Samolot wystartował, mając trzech ludzi załogi i 8 pasażerów. Gdy na widnokręgu ukazało się lotnisko Fürth, jeden z pasażerów, a mianowicie werkmistrz fabryczny Hutte z Obersdorfu, udał się do toalety samolotu i po chwili rozległa się w samolocie detonacja. Nietracący przytomności pilot kontynuował dalej lot, podczas gdy jeden z członków załogi wyważył drzwi toalety i zauważył, jak Hutte usiłował właśnie podpalić płyn, który wylewał z flaszki. Przez kilka nnstępnych minut rozegrała się w szybującym samolocie scena ubezwładniania broniącego się zaciekle szaleńca, którego wreszcie przy pomocy pasażerów udało się skrępować. Po wylądowaniu samolotu, który przybył z zaledwie pięciominutowem opóźnieniem. Policja otoczyła samolot i Huttego aresztowała. Aresztowany Hutte odmawia jakichkolwiek wyjaśnień.

900-letni proces. Jak donoszą gazety włoskie, sąd w Neapolu ma w najbliższym czasie rozstrzygnąć spór, który trwa już od 930 lat. Rok 1.000 po Chrystusie był rokiem ogólnej paniki, ponieważ różni prorocy przepowiadali wówczas bezpośredni koniec świata i zagładę ludzkości. Znalazło się wielu łatwowiernych, którzy w trwodze i przerażeniu oczekiwali ostatniego dnia. Wśród tych, którzy ulegli sugestji głoszonego końca świata, znajdował się pewien zamożny Włoch, którego własnością były tereny, położone na wyżynie pomiędzy Neapolem a Salermo. Na terenie tym wznosi się klasztor San Tifone. Właściciel, oczekując końca świata, podarował grunt mnichom z klasztoru San-Tifony. Gdy jednak krytyczny rok przeminął a ofiarodawca przekonał się, że świat jak istniał, tak istnieje, zrobiło mu się żal podarowanej lekkomyślnie ziemi i starał się wielokrotnie o to, aby akt darowizny unieważnić. Wysiłki te jednak pozostały bezskuteazne, tak samo, jak starania jego potomków. Zaczęły się procesy, trwające przez pokolenia. Ostatecznie skończyło się na tem, że sąd połowę tych gruntów przyznał Neapolowi, a drugą połowę gminie Rawella w prowincji Salermo. Żadna jednak strona nie była zadowolona z tego wyroku i procesy ciągnęły się dalej. Wreszcie Włochy stały się królestwem. Królewski dekret orzekł, iż oba stoki owego wzgórza mają należeć do gminy Rawella. Obecnie miasto Neapol znowu wytoczyło tę sprawę i wniosło sprzeciw do sądu apelacyjnego, a zatem w najbliższych dniach ostateczny wyrok ma rozstrzygnąć o sporze prawnym, trwającym od 930 lat.

Książę-włóczęga. Przed sądem paryskim stanął przed kilkoma dniami książę Paweł Urusow, były kapitan gwardji carskiej i syn b. ambasadora rosyjskiego w Belgji, oskarżony o niezapłacenie szoferowi auta na-

leżytości za jazdę. Książę Urusow wybrał się na przejażdżkę po Paryżu. Po dłuższej jeździe kierowca zauważył, że jego taksometer wskazuje już 50 franków i zażądał zapłaty. Wówczas wyszło na jaw, że książę nie posiada przy sobie ani centima. Sędzia przemówił do ambicji księcia, przypominając, że jego przodkowie zajmowali niegdyś w Rosji najwyższe stanowiska i wzywając go, aby piękne nazwisko nosił z większą godnością. Urusow został skazany na miesiąc więzienia.

Polowanie po dachach. Gazety angielskie rozpisują się o ciekawem polowaniu po dachach. Oto pani Róża Matews, zamieszkała w Londynie, zajęta była właśnie w kuchni sprawami gospodarskiemi, gdy ktoś zapukał. Otworzyła drzwi. Do kuchni wtargnął jakiś zamaskowany mężczyzna, obalił nieszczęśliwą kobietę na ziemię i począł tłuc ją kamieniem po głowie. Ale struny głosowe napadniętej funkcjonowały tak znakomicie, że ofiara napadu poczęła wrzeszczeć wprost przeraźliwie. Złoczyńca nastraszył się i czmychnął. Tymczasem krzyki pani Matews zwabiły sąsiadów. Rozpoczęto pogoń za bandytą. Nagle ujrzano go skaczącego z kocią zgrabnością po dachu przyległej kamienicy. Zaalarmowani policjanci poczęli polowanie na bandytę-akrobatę. Okazało się, że zręcznym bandytą jest Andrzej Walsh, pomocnik kominiarski, pozostający od kilku miesięcy bez zajęcia. Nieszczęśliwy ten młodzieniec z powodu nędzy i głodu powziął myśl zbrodniczego napadu. Nie mając pieniędzy na zakupno rewolweru, użył jako broni pokaźnego kamienia. Ale już pierwsze energiczne krzyki ofiary odrazu odebrały mu ochotę do dalszego „działania". Walsh był zdaniem świadków osobnikiem łagodnym i bardzo solidnym. Nędza życia wielkomiejskiego doprowadziła go nad brzeg straszliwej przepaści.

Rekord portugalskiego ojca. Portugalczyk Jaquin Antonio Monteiro, zamieszkały w miejscowości Figuevia du Foz, zgłosił narodziny swego najmłodszego syna, który jest dwudziestem szóstem dzieckiem. Monteiro jest żonaty po raz trzeci. Wszystkie jego dzieci żyją, z tego 25 chłopców a tylko 3 córki. Synowie Monteiro twierdzą, że pozostaną przez całe życie w stanie bezżennym. Monteiro pomimo, że 23 lata spędził w afrykańskich kolonjach, odznacza się doskonałem zdrowiem. Postarzał się jednak w ostatnich czasach i kiedy urodziło mu się dwudzieste szóste dziecko, wyraził ubolewanie, że może nie będzie już oglądał go jako dorosłego człowieka.

Straszna powódź na Kaukazie. Kaukaz został ostatnio nawiedzony żywiołową klęską powodzi, która wyrządziła olbrzymie szkody. Według dotychczasowych obliczeń, w mieście Nachiczewań w Azerbejdżanie utonęło 40 osób. Szalejący żywioł zburzył 150 domów. 120 domów natomiast zostało poważnie zagrożonych. Woda zalała również gmachy rządowe, oraz t. zw. „pałac Sowietów", który pod naporem wody zawalił się. W miejscowości Ordobat powódź zburzyła gmachy miejscowego szpitala. Pod gruzami znalazło śmierć 30 chorych. Władze sowieckie wysłały kilka pułków z garnizonu w Tyflisie, celem zorganizowania akcji ratunkowej. Szkody wyrządzone przez powódź obliczane są na 10 miljonów rubli. Miasto Nachiczewań niedawno zostało nawiedzone katastrofą trzęsienia ziemi.

Wojna o żonę zakończona pokojem. Długą karawaną snują się po ulicach Tyflisu nowoczesne automobile i juczne wielbłądy, zaprzęgi końskie i osiołki, których jeźdźcom nogi włóczą się prawie po ziemi, dając ogólne wrażenie współżycia Zachodu ze Wschodem. To samo jest w stosunkach ludzkich, przyczem Wschód nie troszczy się o władze bolszewickie i żyje dalej po swojemu wedle odwiecznych praw niepisanych. W myśl tych praw zatem 40-letni Azis, mąż pięknej 16-letniej Zaidy, dowiedziawszy się, ze młody Ali zakochał się w niej i, że ona odpłaca mu się także miłością, postanowił ukarać rywala śmiercią. W tym celu zmobilizował i uzbroił mężczyzn swojego rodu, zawiadamiając lojalnie ród Alego o wypowiedzeniu wojny. Ali ze swej strony oddał się pod opiekę 12 zbrojnych ze swego rodu i zdawało się, że wnet bruk Tyflisu spłynie krwią stron walczących. Ale gwałtownych gestów mahometan tyfliskich nie trzeba brać zawsze tragicznie. Wiedzieli o tem pośrednicy i wdrożyli rokowania. Przez nich więc Azis postawił swe warunki pokojowe. Zgłosił gotowość odstąpienia pięknej Zaidy na pewien czas albo i na zawsze, jeśli otrzyma 500 rubli gotówką, parę butów, burkę i czapkę futrzaną. Alemu te warunki wydały się wygórowane, postawił więc swoje, pośrednicy zaczęli znowu biegać między dwoma zbrojnemi obozami, aż wreszcie stanął traktat pokojowy. Azis otrzymał 200 rubli, zobowiązując się wzamian odstąpić swe prawa do pięknej Zaidy na półtora roku. Po tym czasie mają się odbyć nowe rokowania, jeżeliby Ali obstawał przy dalszem posiadaniu Zaidy. Ale czy będzie obstawał?

Śmierć 5 księży w nurtach Ottawy. W odległości 40 klm. od Ottawy wydarzył się na rzece Ottawie wypadek, którego ofiarą padło 5 księży katolickich. Sześciu księży przeprawiało się przez rzekę na małej łodzi motorowej podczas silnego wiatru. W chwili, gdy znaleźli się na środku rzeki łódź wywróciła się i wszyscy wpadli do wody. Pięciu utonęło a szósty ksiądz, który dobrze pływał, został wyratowany i wciągnięty do łódki, jaka tymczasem pospieszyła tonącym z pomocą.

Bunt na okrętach chilijskich. Z Santiago donoszą, że na chilijskich okrętach wojennych, stojących w porcie La Serena, wybuchł bunt. Załogi okrętów pojmały i uwięziły oficerów i zmusiły ich do podpisania protestu przeciw zamierzonej redukcji poborów. Po spełnieniu żądania oficerowie zostali zwolnieni, jednak nie wolno im opuścić pokładu.

Straszliwa katastrofa żywiołowa. Dopiero obecnie napływają szczegóły, dotyczące straszliwego trzęsienia ziemi w Indjach Wschodnich. Pomimo upływu kilku dni od czasu trzęsienia linje telegraficzne i drogi, wiodące w głąb zniszczonych okolic, są przecięte, a wiadomości, jakie nadchodzą, pochodzą od pilotów płatowców, wysłanych na zwiady, oraz od uciekinierów. Ostatnie trzęsienie ziemi było jedną z największych katastrof żywiołowych ostatnich czasów. Zniszczyło ono doszczętnie trzy miasta w Beludżystanie: Moch, Abigum i Pagnir. Część ludności zdołała uciec, reszta zaś znalazła śmierć pod gruzami. Oprócz wspomnianych miast, zupełnie zniszczonych, uległy poważnemu zrujnowaniu i inne okoliczne miejscowości. W całych prowincjach Beludżystanu wszystko znajduje się w gruzach. Szkody materjalne są wprost olbrzymie. Ludność okolic, nawiedzonych klęską, stoi przed widmem głodu i epidemji, pomoc, którą można narazie jej nieść tylko przez płatowce, rzucające paczki z żywnością i medykamentami, jest minimalna w stosunku do zapotrzebowania. Pierwsze trzęsienie trwało przez szereg godzin i ujawniało się w krótkich a częstych odstępach. Liczba tych wstrząśnień wynosiła około 200. W nocy naliczono wstrząśnień tych 65, z których kilka najsilniejszych spowodowało katastrofę, a reszta wstrząśnień pociągnęła za sobą zawalenie się budynków, nadwątlonych poprzedniemi wstrząśnieniami. O sile wstrząśnień świadczy fakt, że według obserwacji pilotów zapadły się pod ziemię lub osunęły małe góry, a rzeki zmieniły swe łożyska.

RZECZY CIEKAWE.

Wędrująca góra.

W dolinie Rhymney, w Walji południowej, istnieje — jak donoszą gazety londyńskie — kilka miasteczek górniczych, skazanych na zagładę niechybną, gdyż położone są w sąsiedztwie góry, powoli, ale bez przerwy posuwającej się w ich stronę. Badania inżynierów górniczych wykazały, że ośrodek i podstawa góry składa się z piasku, przeplatanego warstwami skalnemi. Woda deszczowa przedostaje się do tego piasku i wpędza go do licznych szybów, kopalń węgla, istniejących z jednej strony góry, skąd piasek ten wypompowywany jest razem z wodą. Góra więc, pozbawiona podpory z tej strony, przechyla się zwolna i posuwa w dolinę. Dostarczanie wody miasteczkom zagrożonym, staje się coraz trudniejsze, gdyż rury wodociągowe pękają pod naporem góry. Niedawno pod jadącym po zboczu góry konno wieśniakiem zapadł się i zniknął w piasku koń. W ten sam sposób znikają także owce, a jeżeli nadejdzie ulewa długotrwała, to miasteczkom rzeczonym grozi poprostu wielka katastrofa. Pomimo to jednak ich mieszkańcy tak oswoili się z grożącem im niebezpieczeństwem, że wcale nie myślą o opuszczeniu swych siedzib. Zupełnie tak, jak wieśniacy, zamieszkali na zboczach Wezuwjusza, powracający po każdym wybuchu tego wulkanu do dawnych swych osiedli, często zasypanych popiołem. Przywiązanie do miejsca bywa mocniejsze, niż obawa śmierci lub biedy.

Sztuczki szulerów.

Jeden ze znanych sztukmistrzów opowiada o różnorodnych, interesujących tajemnicach fałszywych graczów:

Naturalnie, że „znaczonym" kartom oddaje fałszywy gracz pierwszeństwo, gdyż one umożliwiają mu poznanie kart współgraczy — od tyłu.

Jest zresztą wiele form w naznaczaniu kart. — Szuler niejednokrotnie na odwrotnym rysunku karty naznacza dwa punkty, które mu zdradzają zawsze przez swoje położenie — za każdym razem inne — kolor i znaczenie karty.

Inni szulerzy umieją zwykłą szpilką bajecznie zoperować grzbiet karty, która nabiera pewnej wypukłości — mniejszej lub większej — niewidocznej dla innych, lecz wyczutej końcami palców szulera.

Jeden z berlińskich szulerów przez długi czas ogrywał swych partnerów przy pomocy „tricku" — naprawdę pomysłowego. Na grzbiecie kart znaczył tajemne znaki — fosforem. W świetle lamp nikt z graczy tych fosforycznych znaków nie widział. Jedynie szuler, gdyż nosił czarne okulary, które dawały mu odbicie fosforu.

Ale raz tak się zdarzyło, że nagle światło lamp zgasło. W tej chwili partnerzy dojrzeli fosforowe znaki, świecące na tyłach kart. Wściekli — rzucili się na fałszerza gry. On zaś, zrozumiawszy, że oni odgadli jego tajemnicę, wymknął się im z rąk i korzystając z ciemności, umknął tym razem bezkarnie.

Jako narzędzie fałszywej gry międzynarodowych szulerów służy najczęściej malutkie, chytrze zamaskowane lusterko, które umieszczają w główce fajki, papierośnicy, albo w jakimś innym przedmiocie, — nie zwracającym uwagi graczy. Zwyczajnie szuler stawia ten lub ów przedmiot na stole i rozdając karty, widzi w lusterku ich odbicie. I to zapewnia mu stałą wygraną.

Amerykańscy zaś szulerzy używają najczęściej w grze swego pierścienia na palcu. Pierścień ten ma swój klejnot: — jest to oszlifowany kryształ w kształcie piramidy trójkątnej wypełnionej rtęcią, która staje się dzięki temu świetnem lustrem, odbijającym karty współgraczy.

Tysiące pomysłów wciąż rodzi się wśród szulerów, których zręczność przechodzi granice prawdopodobieństwa.

Wesołe pogrzeby.

Na Filipinach nie umiera się tragicznie. Takby przynajmniej zdawać się mogło, sądząc z następującego obrazka pogrzebowego w San Antonio.

Przy dźwiękach wesołej muzyki tanecznej rodzina przenosi swego nieboszczyka z kościoła do grobu. Dwa piękne dzwony dzwonią podczas pogrzebu równie fałszywie i głucho, jak podczas ślubu i chrztu. W porze deszczowej, kiedy deszcz pada prawie nieustannie, wtedy z natury rzeczy odbywa się wszystko w nastroju poważnym i uroczystym. Lecz w dniu słonecznym, pod wieczór, po ukończonej pracy, odbywa się obrzęd pogrzebowy całkiem inaczej.

Oto klekocą dzwony, z kościoła siedmiu ludzi wynosi nieboszczyka. Siedmioro ludzi — cała rodzina, ze zwłokami dziecka, według rozmiarów trumny sądząc, może 2-letniego. Trumienkę ozdobiono taśmami z czerwonego i zielonego papieru, niesie ją na ramieniu ojciec w dużym słomkowym kapeluszu. — Niesie obojętny na wszystko. Obok idzie matka dziecka tak samo obojętna, z cygarem w ustach, i jak gdyby nieświadoma tego, co się dzieje. O kilka kroków przed nimi kroczą ich dwie córki, również z cygarami w ustach i z oznakami jeszcze większej obojętności. Tuż za rodzicami człowiek niesie cienki wysoki krzyż drewniany, kapelusz słomkowy na głowie i rozgląda się dokoła leniwem okiem i obojętnem. Za nim kroczą dwaj muzykanci, jedyni w całym tym orszaku, przejęci żywo swoją misją. — Gitarzysta i skrzypek. — Grają melodję wiecznie się tam powtarzającą, lekką, skoczną. Skrzypek trzyma smyczek pełną garścią i piłuje zgrzytliwie i fałszywie, ale w rytmie. Gitarzysta, mały i pękaty, chwieje się i podryga na swych krótkich nogach. On także kopci cygaro i to z oznakami wielkiego zadowolenia.

Pusto wszędzie, kiedy posuwa się mały ten orszak. Dzwony kołacą zaledwie dwie minuty i słychać już tylko coraz bardziej oddalające się dźwięki skocznej muzyki tanecznej dwóch grajków pogrzebowych.

Cygaro i wesoła muzyka — to obraz pogrzebu na Filipinach.

W jakiej postawie śpią zwierzęta?

Zwierzęta nie sypiają w sposób jednakowy, każdy rodzaj posiada w sobie tylko właściwy sposób odpoczynku. Zając śpi z otwartemi oczyma, tak samo śpią ryby i węże. Bociany śpią, stojąc na jednej nodze. To samo mewy. Kaczka najchętniej sypia, pływając na pełnej wodzie. Słonie śpią, stojąc. Lis i wilk zaś zwijają się w kłębek i kładą pysk na tylnych nogach, podobnie jak pies. Często przykrywają się jeszcze puszystym ogonem jak kołdrą. Nietoperze śpią w pozycji wiszącej, głową na dół. Małpy sypiają w najniemożliwszych pozycjach, bardzo często wisząc głową na dół, uczepione gałęzi tylnemi nogami lub ogonem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Za cenne prace serdecznie dziękujemy. Część idzie niemal od ręki, resztę chowamy na później. Prosimy o dalszą pamięć. — **Józef Andrzej Frasik** w Rz.: Wiersz daliśmy już do złożenia, będzie w jednym z najbliższych numerów. — **Marja Byczkówna** w O.: Pierwsze dwa wierszyki zamieścimy; trzeci popsuł się zaraz w pierwszej zwrotce. — **J. St.**: Wierszyk p. t. „Wśród natury" bardzo słaby. Poza rymami nic w nim więcej niema, a same rymy jeszcze nie wystarczają. — **Wojciech Płoskonka** w G.: Pszczoły pod dachem muszą zimować w ciemności, gdyż inaczej wrazie wyższej ciepłoty wylatywałyby z ula i ginęły. Najlepiej więc zabić okno deskami, co nie sprawi wielkiej trudności. Niewielkie szpary nic nie zaszkodzą. Owe nitki różnego koloru, widziane na ulach z wiosną, to zapewne pylniki kwiatowe. Bywają one nieraz powleczone cienką warstwą miodu, więc przylepiają się do pszczół, a te przynoszą je na mostki ula. Tu inne pszczoły robią z nimi porządek. Co innego jest zanieczyszczenie mostka ula przez kał pszczół, szczególniej na wiosnę. Ale zdarza się to tylko u bezmatków. Jeżeli pień osierocieje, pszczoły nie wylatują żwawo z ula, ale tylko wyłażą i łażą po nim, oddając kał na zewnętrznych ścianach ula. Taki pień trzeba natychmiast ratować przez dodanie zapasowej matki, lub młodziutkiego czerwiu, a gdyby to było bardzo wczas na wiosnę, gdy jeszcze trutów niema i matki zapasowej brak, to rój taki najlepiej połączyć z innym słabym, który matkę posiada. — **Em-er** w Rz.: Niestety, w naszym rządzie jeszcze niema nikogo takiego, ktoby się zajął gorliwie popieraniem hodowli pszczół. Wskutek tego towarzystwa bezskutecznie kołatają o tańszy cukier na przezimowanie pszczół. Może tego roku co wykołatają, ale jak dotychczas, nic o tem nie wiemy. Trzebaby się w tej sprawie zwrócić do Towarzystwa pszczelarskiego we Lwowie (ul. Kopernika 20), a może oni co poradzą. Ja sam będę musiał kupić ogółem do 100 kg cukru, a kupię, choć pieniędzy brak, bo szkoda pszczółek zmarnować. Może dany im zasiłek w przyszłym roku zwrócą z procentem. — **„Młot"** w K.: „Trucicielki" przeczytałem z wielkiem zajęciem. Treść ich jest bardzo zajmująca, a usterki stylistyczne i ortograficzne pousuwałem. Moglibyśmy ją za Pańską zgodą drukować, ale dopiero w drugiej połowie przyszłego roku, gdyż na najbliższą przyszłość mamy przygotowane dwie oryginalne powieści, napisane specjalnie dla „Roli", a mianowicie Marji Waller: „Stłumione echa" i Józefa Hornika: „Dziwy życia" powieść niesamowitą. Obydwie te powieści są tak zajmujące, że sami czekamy z niecierpliwością na rozpoczęcie ich druku. — **Janina Smagalska** w U.: Niech Pani nie obcina włosów! Piękny, bujny włos na głowie kobiety jest jej prawdziwą ozdobą. Uczesanie nie sprawia zbytnich trudności, podczas gdy z tymi krótkimi kłaczkami trzeba ciągle chodzić do fryzjera, aby jako tako wyglądały. — **Kazimierz Mizerski** w K.: Przeciw miłości lekarstwa niema. Przychodzi ona niewiadomo skąd i poco, częściej na utrapienie ludzi, aniżeli ku ich radości. Wierzymy, że miłość bez wzajemności jest nieszczęściem, ale niech sobie Pan pomyśli, że widocznie osoba ta, którą Pan kocha, a która gorącej Pańskiej miłości odwzajemnić nie chce, czy nie może, nie zasługuje na Pańską miłość. A może to będzie lekarstwem. — **Jan Sałach** w L.: Pisze Pan: „Inne gazetki ludowe dają 4 kartki tygodniowo, a kosztują 10 złotych rocznie, „Rola" natomiast daje 10 kartek, a kosztuje tylko 12 złotych, jest przeto więcej niż o połowę tańsza. Kto więc nie ma dużo pieniędzy do wydawania na gazety, niech zaprenumeruje „Rolę". Zupełnie słuszne są Pańskie słowa i my je z całego serca popieramy, dodając: „Kto ma dużo pieniędzy, niech prenumeruje „Rolę", kto ich ma niewiele, niech także prenumeruje „Rolę", a kto ich ma bardzo mało, niech sobie ją kupuje co tydzień w trafikach, czy kioskach a w ciągu roku złoży sobie gruby tom, obejmujący przeszło 1000 stron druku, a zawierający wiele powieści, opowiadań, legend, humoresek i t. p. Sam Maciek warta miljony, a nie 12 złotych. — **Piotr Kozicki** w C.: Są jednak i tacy, którzy mówią, żeby baby do głosu niedopuszczać. Być może, że i Kaśka się wkrótce odezwie. Maciek mówi, że w Czerńcu śliwy są bardzo dobre, ale za cóż po nie pojedzie? A i dziewuszki tam też są „śwarne" i słodsze jak te śliwki. A chcąc sobie pojeść i pokosztować, to trzeba na to grosza, a on biedak nie ma, więc ruszyć się nie może, skazany na cierpkie już dla niego towarzystwo Kaśki i gospodyni. — **Orszulik Fr.** w Ż.: Niech się Pan odniesie w tej sprawie do księgarni „Wiedza i Sztuka" Kraków, ul. Gołębia 10/R. Znaczek na odpowiedź załączyć.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

p	c	e	z	a
i	o	r	t	b
a	w	a	w	i
t	m	z	o	w
i	g	o	e	d

Ruchem konika szachowego odczytać zdanie H. Sienkiewicza.

Zdanie rozpoczyna litera w pierwszym kwadracie od góry.

2. Szarady.

I

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Pierwsze drugie pół trzecie,
Imię męskie ładne,
Trzecie czwarte są piękne,
Zwłaszcza gdy układne.
Całość, to jest pamiątka,
I to wielkiej wagi,
W niej ludzie czerpali
Dla siebie odwagi.

II.

Pierwsze wspak żyje sobie w wodzie,
Drugie i trzecie znajdziecie w ogrodzie.
Całość bardzo dobra, nauczy człowieka,
Lecz niech on nigdy od niej nie ucieka.

III.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Trzecie czwarte piąte to przedmieścia miano
Pierwsze drugie i ostatnią wciąż bardzo [lubiano,
Z sekretu się mąż przed żoną nawet trze-[cie czwarte,
Piąte szóste choć potrzebne, nie wiele są [warte.

Całość to pamiątka miła, starodawna,
Nietylko w Krakowie, lecz w wszechświe-[cie sławna.

3. Bilet wizytowy.

(Ułożył Leopold Wołek z B.).

Onezoj Dziwokesz
Kiły

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

					Miasto w Polsce.
					Jednokomórkowiec.
					Pieniądz
					Niepokój.
					Przywódca rewolucji we Fr.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 18 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 35 „Roli": 1. Konikówka: „Po tem wyższego męża nieraz poznać w tłumie że on zawsze to zwykł tylko robić, co umie". 2. Szarady: I. Kiepura. II. Peruka. III. Paragraf. 3. Łamigłówka zoologiczna: Wiewiórka. 4. Logogryf podwójny: Tygodnik „Rola".

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali pp.: Ks. Karol Migała z U., Jan Styś z O., Kazimiera Opolska z W., Józef Górecki z K., Janina Dybińska z P., Paweł Niemirowski z L., Jan Sady z U., Michał Kopeć z U., Ks. Józef Niezguła z O., Karolina Michalska z P.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Sady z U. i Jan Styś z O.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

U cyrulika na wsi.

Bartek: — O jej, panie cyrulik! Jużeś mi pan trzy zdrowe zęby wyrwał, a ten bolący ciągiem siedzi!

Cyrulik: — Bądźcie cierpliwi! Przecież do niego kiedyś dojdę!



Pełen.

W wasze ręce kumie! — mówi gospodarz, podając koledze dwunasty zkolei kielich wódki.

— Chyba w ręce — odpowiada bełkocząc kum — bo w gardło już się nie zmieści.



Dobra przymówka.

— Pan: Jakże ci się podoba na nowem miejscu?

Służący: Owszem, tylko mam kolegów, strasznych niedowiarków!

Pan: Pod jakim względem?

Służący: żaden mi nie chce uwierzyć, że od pana nigdy nie dostanę na piwo!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 września b. r.

Pszenica	23·50—24·00	**Słoma długa**	6·00—6·50
Żyto	23·00—23·50	**Ziemniaki stoł.**	6·00—7·00
Owies	21·50—22·00	**Koniczyna na-sienn. czer.**	000·00—000·00
Jęczmień	18·50—19·50		
Fasola biała	34·00—36·00	**Mąka żytnia**	38·00—38·50
Groch zwyk.	28·00—30·00	**Mąka pszen.**	45·00—46·00
Siano słodk.	12·00—13·00	**Otręby pszen.**	14·00—14·50
Łubin żółty	00·00—00·00	**Otręby żytnie**	14·00—14·50
Koniczpastew.	14·00—15·00	**Mąka czerw.**	17·00—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 8 września b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje	od 0·95 do 1·06 zł.	**Jałownik**	od 0·90 do 1·02 zł.
Woły	od 1·03 do 1·12 zł.	**Cielęta**	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy	od 0·80 do 0·89 zł.	**Kozy i barany**	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·60 do 1·80 zł.	**Nierogacizna bitej wagi**	od 2·20 do 2.35

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.